

Agent policyjny

Kazimierz Laskowski



calibre 0.9.27

Spis treści

- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [X](#)
- [XI](#)
- [XII](#)
- [XIII](#)
- [XIV](#)
- [XV](#)

AGENT POLICYJNY

(z papierów po hektorze Blau)

Laskowski Kazimierz

I

PROLOG.

Pewnego kwietniowego ranka, na ulicach Warszawy, pojawiły się nadzwyczajne dodatki brukowego dziennika, które publiczność rozchwytywała skwapliwie. Około godziny dwunastej handel ulicznej bibuły wzmógł się tak bardzo, że kolporterzy, wyprzedawszy cały zapas, obiegli tłumnie redakcję "Zwiastuna Rannego" domagając się drugiego nakładu.

W redakcyi niespodziewano się tego wcale. Trzeba było posyłać po maszynistę i puszczać na gwałt rotacyjne maszyny, bo sprzedawcy gazet nie chcieli ustąpić. Publiczność, która jeszcze nie zdążyła zaspokoić swej ciekawości, co chwila zaczepiała ich, żądając dodatków, obiecując płacić podwójną i poczwórną cenę. Ale dodatków nie było. Dopiero około godziny drugiej zaczęły maszyny wyrzucać pierwsze setki, rozchwytywane w lot bez targu, minio podwyższonej ceny.

"Zwiastun Ranny" zrobił doskonały interes. Gruby jego wydawca zacierał ręce.

— No! opłacił się ten Blau porządnie — monologował. — Nigdy za życia nie można było zarobić na nim rubla, a po śmierci dał zysk lepszy od wszystkich bomb, jakie w ciągu ostatniego roku rzucono w Warszawie! Dawno już kochana publiczka tak się nie rozczytała. Kochani koleźcy pękną dziś z zazdrości.

Istotnie, czytano dodatki chciwie. Na ulicach, po kawiarniach, restauracjach — po biurach, na giełdzie, po dworcach kolejowych, nawet w tramwajach czytano je i rozprawiano hałaśliwie. W policyjnych cyrkułach czytano je w milczeniu, z pewnem namaszczeniem i gromowładną, urzędową powagą, a stróż publicznego bezpieczeństwa, wyższych i niższych stopni, przechadzali się po ulicach w chmurnem jakimś skupieniu, w nastroju, który możnaby nazwać trwożnym, gdyby do serc tych niezłomnych i doświadczonych mężów, przystęp

takiego jak trwoga uczucia, był w ogóle dopuszczalny.

Cóż jednak było w tych dodatkach takiego, co do tego stopnia zelektryzowało publiczną ciekawość?

Czyżby odkryto znów węża, który ssał żydówkę?

O! tym razem chodziło o coś ciekawszego od wszystkich węzów razem, nie wyłączając morskich i od wszystkich żydówek, ssanych i niessanych!

Oto rybacy wyłowili z Wisły, niedaleko Jabłonny, trupa ludzkiego.

Boże! także sensacja! Tyle trupów Wisiełka spławna co roku!

Ba! ale ten trup — nie był trupem zwyczajnym.

Ten trup był dziwny. Miał na ciele ściśle przylegającą stalową koszulkę.

Wiosna w tym roku spóźniła się mocno. Ostre przymrozki, a nawet mrozy, trzymały prawie przez cały marzec. Wisła niedawno dopiero ruszyła i ruszyła nagle. Ciepłe kwietniowe słońce topiło wszędzie śnieg i lód, a było tej zimy tyle tego dobrego, że wody bardzo przybrały. Uwolniono z kry fale tłukły się szparko po brzegach i wypłukały z jakiejś jamy trupa, co zamrożony, jak plasterek ananasa w puszcze rzymskiego ponczu, spokojnie w zamarznętej Wisiełce oczekiwał wiosny.

Teraz, wzdęty, wypłynął i ciągnięty ciężarem owej koszulki, taczał się po dnie, aż oń rybacy zawadzili siecią.

Z ubrania pozostały już tylko nieokreślonego wyglądu łachmany. Ciało, szczególnie twarz i ręce, obszczypały i objadły raki i ryby. Na nogach pozostały jednak buty z łyżwami i owa koszulka na ciele, ze stalowych wybornej roboty ogniów, misternie spleciona.

Czyje to mogły być zwłoki?

"Zwiastun Ranny" miał szczęście. Jeden z jego reporterów wracał właśnie z wycieczki od krewnych w Pułtuskim i ze wsi bryczką dojechał do Jabłonny, kiedy rybacy wyciągnęli już trupa i wieść o nim rozchodzić się poczęła. Naturalnie poszedł zobaczyć, a ujrawszy zwłoki w owym dziwnym pancerzu i w dodatku przybrane tak, jak gdyby nieboszczyk przypuszczał, iż w niebie ślizgawka jeszcze otwarta — zadumał się mocno.

Ale zadumy reporterów nie trwają nigdy długo, chociaż bywają za to głębokie.

Reporter "Zwiastuna Rannego" dumiał tem krócej, że właśnie był w peryodzie golizny i jako lew na puszczy szukał, kogoby pożarł.

Trup łyżwiarza w pancerzu nie był wprawdzie zbyt apetyczny i zapewne czuć go już było conajmniej.... mułem, ale nos reporterski, przywykły do odczuwania woni subtelnych, odrazu zwąchał w nim wyjątkowy materyał.

Zebrawszy na prędce wiadomości, pożyczył od naczelnika stacyi dziesięć złotych i palnął do swej redakcyi depeszę, prosząc o zaliczkę i fotografa. Fotograf z zaliczką do Jabłonny przyjechał i — nazajutrz "Zwiastun Ranny" wydał sławny swój dodatek.

Na czele jego czernił się ogromnemi literami wydrukowany tytuł:

ŻELAZNA MASKA CZYLI TAJEMNICZY TRUP W PANCERZU NA FALACH WISŁY!

Poniżej biegły pod sensacyjnymi nagłówkami rozdziały opowiadania o znalezieniu zwłok przez rybaków, a ostatni z nich, zatytułowany "Domysły" — kończył się znowu calowemi literami tłustego druku, zawierającego te słowa:

"Tak więc, reasumując dane i zestawiając je z domysłami, przychodzimy do wniosku, iż tajemniczy ów trup w pancerzu i łyżwach, z twarzą zupełnie niestety zniszczoną, może być tylko trupem znanego szeroko w całej Warszawie, a zaginionego bez śladu w styczniu roku bieżącego Hektora Blau'a....."

Nic dziwnego, że dodatek ten czytała cała Warszawa.

Cała Warszawa znała Hektora Blau'a.....

Wszyscy interesowali się jego tajemniczem zniknięciem dotąd jeszcze, mimo, iż upłynęły prawie trzy miesiące. Krążyły o tem setki domysłów i baśni, jednych dziwaczniejszych od drugich. Teraz — to zajęcie spotęgowało się jeszcze.

Kim był Hektor Blau?

Nie był Sherlockiem Holmesem, jakkolwiek był także — agentem policyjnym.

To nic nie szkodzi. — I ja też nie jestem Conanem Doyle'm, a jednak pamięci i

cieniom zgasłego przedwcześnie Hektora Blau'a poświęceni tę garstkę wspomnień.....

Do spisania ich posłużył mi, podobnie jak reporterowi "Zwiastuna Rannego" fortunny traf. Byłem szczęśliwszy od Conana Doyle'a: on czerpał z fantazyi, mnie udało się oprzeć na materyale autentycznym. Oto w tydzień po ukazaniu się dodatku "Zwiastuna Rannego" bawiłem za interesem w Gdańsku. — Wracając z przystani do miasta, wstąpiłem tam kiedyś do oberży, w której zbierają się marynarze i flisacy — właśnie jeden z nich opowiadał, iż płynął łodzią po Wiśle i wiosłem wyłowił jakiś płaszcz z wody.

— Szmata zgniła zupełnie — mówił — ale chciałem zajrzeć w kieszenie, bo wiosło uderzyło o coś twardego w tym łachu. No i znalazłam — zgadnijcie co? — Ha, myślicie może, pugilares?! No, pomyliliście się jak i ja — książka była, nie pugilares!

To mówiąc pokazywał książeczkę w futerale z jakiegoś dziwnego materyału. Nie widziałem nigdy takiego futerału, zaciekawiony więc poprosiłem o pozwolenie obejrzenia. Futerał był rogowy, zamykany zameczkiem — wewnątrz — gruby notes. Woda prawie zupełnie nie uszkodziła kartek, zapisanych drobnem pismem. Skoro spojrzałem na inicjały, splątane na okładce w misterny srebrny monogram, poczułem wnet ten sam ponętny zapach, który przed tygodniem podrażnił czułe nozdrza reportera "Zwiastuna Rannego" w Jabłonnie.

Bez namysłu zaproponowałem znalazcy kupno i zapłaciwszy bez targu ile żądał, uradowany, nabyty skarb mój uniosłem.

Notes ten nosił na sobie litery H. B. i zawierał.....

Ale o tem już w następnych rozdziałach.

FAŁSZYWA PIĘĆSETRUBLÓWKA W OKIENKU TOTALIZATORA.

Wspaniały, wyłożony słońcem, ciepły wrześnieowy dzień.

W Warszawie ruch i ożywienie. Alejami Ujazdowskimi i Marszałkowską suną dorożki na gumach i liczne prywatne ekwipaże w stronę Mokotowskiego, wyścigowego pola. Dziś otwarcie jesiennego sezonu.

W chwili gdy na placu przed trybunami rozległ się głos ostatniego dzwonka, wzywającego do startu konie, stojące do pierwszego wyścigu, przed bramę z wieżyczkami od ulicy Kaliksta, na tor wiodącą, zajechał stylowy amerykański, zaprzężony w parę złotych kasztanów. Z ekwipażu wyskoczył szparko młody, wcale przystojny i doskonale ubrany mężczyzna i okazawszy woźnym sezonowy bilet, podążył szybko ku trybunom po żwirowanej alei.

Przez drogę rozwinął program wyścigowy i, zajrzawszy weń, jakby dla sprawdzenia numeru, szedł prosto ku okienkom od kas totalizatora, nie patrząc nawet na tor, gdzie stawały już konie. Nim jednak doszedł — zabrzmiał elektryczny dzwonek, hasło, że konie już ruszyły i przyjmowanie stawek wstrzymane.

Przystanął, zaklął zcicha i poszedł na trybunę.

Było tam jednak tak pełno, iż nim zdołał sobie jakieś miejsce wywalczyć, gonitwa się już skończyła, konie mijały celownik, witane okrzykami tłumów.

Popatrzył na zwycięzcę i wstał z zajmowanego krzesła, chcąc zmieszać się z falami widzów, odpływającymi teraz z trybuny do wag i przed kasy gry.

W chwili gdy schodził, poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia i obrócił się żywo. Przed nim stał dżentelmen w ciemnym, eleganckim ulsterze i cylindrze na głowie. Twarz miał bladawą, zakończoną spiczasto ostrym trójkątem czarnej brody, czarne również, bujne, w górę podczesane wąsy i także oczy, duże, przenikliwe, osadzone głęboko po obu stronach charakterystycznie zagiętego nosa, pod łukami czarnych, krzaczastych brwi, podniesionych w górę, ku bokom czoła. Cienkie, odstające i jakby błoniaste, a duże konchy uszu, dodawały tej twarzy, dziwnie wyrazistej, jakiegoś niesympatycznego charakteru; w rysach jej spokojnych, ale poprzecinanych całą siecią zmarszczek, przebijała się energiczna przedsiębiorczość i jakiś drzemiący, demoniczny tragizm.

— Dzień dobry, panie Antoni — rzekł dżentelmen w cylindrze — spóźniłeś się pan na pierwszy wyścig, prawda?

— Tak, nieco późno dziś wstałem.: graliśmy trochę wczoraj...

— Jak zwykle, do piątej lub szóstej! Pan się nigdy nie odzwyczaisz od tego!

— Ah, daj mi pan pokój! Cóż to zresztą przeszkadza panu, panie Minczewski?

— Człowiek powinien mieć spokojne nerwy, panie Okólski, skoro staje do ważnej roboty! A pan je szarpiesz przy całonocnej grze o marne kilkadziesiąt rubli!

— Mylisz się pan — wygrałem dziś przeszło dwieście fajgli!

— Gdyby i trzysta nawet — to co to warte? jutro, albo dziś, przegrasz pan dwa razy tyle i przez zdenerwowanie możesz pan zepsuć interes, na którym, jeżeli pójdzie, możemy zarobić tysiące...

— No, no! nie żołądkuj się pan, szlachetny bankierze! Nie jestem wcale zdenerwowany — i lepiej nawet, że się spóźniłem. W drugim, trzecim biegu, publiczność się już rozegra, w kasach będzie ruch większy i daleko łatwiej wówczas ulokować próbkę naszego berlińskiego towaru!

— Może i racya... Czy pan grasz także na swój rachunek?

— A to dobre! naturalnie! przecież bez gry nie wytrzymałbym tutaj!

— Panie Okólski — ja panu co powiem: niech pan dzisiaj nie gra — puścić te pięćset i szlus! Pojedziemy potem na obiad, nie czekając końca.

— Dlaczego?

— Bezpieczniej będzie... poco się kręcić tutaj? Grać, to pan sobie przyjedziesz innego dnia!

— Cóż za głupie obawy znowu! niema żadnego niebezpieczeństwa! w takim tłoku i pośpiechu, jaki jest przy kasach! i tutaj pięćsetrublówka nikogo nie zdziwi, bo wiadomo, że wielu ludzi zgrywa się w totka na znaczne sumy! Jabym nawet spróbował w paru kasach puścić!

— Nie — stanowczo nie chcę. Tę jedną tylko — więcej panu nie dam. Niech to będzie próba.

— No, dobrze. Ale zostaniemy jeszcze trochę — puszczę ją dopiero w czwartym, lub piątym biegu, a przedtem sam dla siebie zagram! Może się pan

dostawisz?

— Dziękuję panu — nie grywam o drobnostki. W której kasie pan ją puścisz?

— Tu na dole, pod trybunami — tu największy ruch i najzamożniejsi gracze grają.

— Dobrze... więc powodzenia! — i potem przyjdź pan tu do mnie, razem wyjedziemy.

— Przyjdę, przyjdę!

Okólski odwrócił się i zeszedł szybko mieszając się w tłumie.

Minczewski schodził wolniej, kłaniając się znajomym. Miał ich tutaj dosyć. Witano go przyjaznym uśmiechem, podaniem ręki, propozycją do spótki w grze. Bankier odpowiadał na to spokojnie, z pobłażliwym uśmiechem — przed niektórymi osobami nisko zdejmował lśniący cylinder.

"Cała Warszawa", ta bogata, strojna, błyszcząca Warszawa, przesycona zabawą i emocjami, a wciąż poszukująca nowych, była na placu wyścigowym. Nie brakło i drugiej — tej, co przez pół roku pracuje w dusznych lokalach, walcząc z budżetem codziennej potrzeby i odłożone na wpis szkolny dla dzieci, na komorne, lub procent od pożyczki pieniądze, lokuje dwa razy na rok w kasach totalizatora. Byli urzędnicy różnych instytucji, dziennikarze, artyści, — byli także różni "dyrektorowie świeżego powietrza", utrzymujący się z nieokreślonych funduszy i było dużo kobiet.

Panie z towarzystwa, ubrane wykwintnie i stylowo, półswiatek ubrany dużo strojnziej lecz z mniejszym poszanowaniem stylu, wreszcie kobiety-gracze, przychodzące tylko dla totalizatora i ubrane jak Bóg dał.

Cały ten pstry tłum przelewał się wciąż od paddocku do żwirówki, okalającej trybuny, stamtąd do kas totalizatora i obsiadał na kilkanaście minut miejsca siedzące, by wnet odpłynąć znów na plac.

Bankier Minczewski kręcił się wśród niego, nie brał jednak udziału w grze, ani nie zdawał się interesować sportowymi zapasami, które tylu ludzi dokoła elektryzowały. Przechadzał się, przystawał, rozmawiał i zajmował się daleko więcej spotykanymi ludźmi, niż końmi, które do wyścigów stawały. Bystre jego oczy przesuwają się wciąż po tłumie, a ile razy napotkały elegancką i wysmukłą postać Okólskiego, tyle razy przyczepiały się doń, śledziły go pilnie, póki wykwintny ten młodzieniec nie utonął w tłoku.

Właśnie podczas jednej z takich obserwacji, w czasie, kiedy siodłano konie do

piątej gonitwy, zaczął bankiera młody brunet poufałym wyciągnięciem ręki.

— Dobry wieczór, panie Minczewski! co się to stało, że i pan na wyścigach?

— Ah, to pan, panie Blau — odrzekł żywo bankier, a po twarzy przemknął mu prędko, nerwowo tik — przyszedłem przypatrzeć się — właściwie nawet, odetchnąć świeżym powietrzem... taki dzień ładny... Ale, że to i pan tu się znalazł! bo chyba nie służbowe obowiązki powołały tu pana?

— O, nie. Miałem parę godzin wolnego czasu i tak jak pan zapragnąłem powietrza, świeżego oddechu. Zmęczony jestem — w tych dniach pracowałem dużo.

— Tem lepiej — musiał pan znów ładnie zarobić! Pan, panie Blau, nie pracuje nigdy na próżno!

— Przynajmniej bardzo rzadko. Ale na co się to zda? Ot, przyszedłem tu — i licho wzięło to, co zapracowałem!

— Jakto?

— Przegrałem, kochany panie! zgrałem się do grosza!

— Tak prędko? Dopiero cztery wyścigi były...

— Ja nie lubię się cackać. Grać, to grać! W dwóch biegach wygrałem, w trzecim postawiłem wszystko na "Sirdara" no — i nie przyszedł bestya! Dał się wziąć o pół sążnia!

— Pan lubi ryzykować...

— Ha, uczę się od pana, panie Minczewski! Pamięta pan — pan mi raz mówił, że na Nalewkach jest takie przysłowie: qui ne risque, tego w pisk!

— Ja? — skrzywił się bankier — kiedy ja tak panu mówiłem?

— Nie? a może to i nie pan! ale mniejsza z tem! pan przecież także lubi ryzykować!

— Ja jestem bankierem, proszę pana. W naszym zawodzie czasem trzeba...

— Tak, tak! w pańskim zawodzie trzeba, ja to wiem! i poza zawodem także... no, no! nie marszcz się pan! ja przecież nic nie mówię! chciałem tylko żebyś się pan nie dziwił, że czasem i ja ryzykuję jakieś kopiejki, kiedy pan ryzykuje większe... rzeczy!

— Panie Blau! pan ma taki język...

— Nieprzyjemny? widzi pan, to ze złości, żem przegrał. Ale wie pan co? pumpnij mi pan paręset rubli — a conto mego rachunku — odegram się i będę wesół! dobrze?

— Pan na prawdę.. ?

— Naprawdę, naprawdę, szanowny panie Minczewski! Nie mogę przecież goły wracać do domu!

Po twarzy Minczewskiego znów przemknął tik i rysy się nieco skurczyły.

— Ileż pan chce... — cedził, wyjmując pugilares.

— Ze dwieście, trzysta...

— Nie wiem czy niani tyle przy sobie — mówił bankier, otwierając portfel. Blau zajrzał doń jednym szybkim spojrzeniem. Mam sto pięćdziesiąt rubli tylko — ciągnął Minczewski, wyjmując banknoty.

— Eh! a tam po drugiej stronie.. ! o! rożek wygląda — pięćsetrublówka, słowo daję!

Minczewski drgnął i cofnął szybko portfel.

— Zdaje się, panu! niemam więcej — to papiery, w dodatku nie moje — depozyt, który dziś wieczór zwracam...

— Papiery? depozyt? a może to... Putiły, co? albo... Bałtyki? — pytał Blau drwiąco, przymrużając oczy.

Minczewski skrzywił się i błysnął spojrzeniem, w którym zatliła się tajona złość.

— Panie Blau... szepnął — czy pan nigdy nie przestanie wspominać... tych rzeczy?

— Mój Boże! żartuję najniewinniej...

— Ja pana tyle razy prosiłem, żeby pan tych żartów przestał! daję przecie zawsze ile pan tylko chce!

— Ij! dajesz pan! a teraz? proszę o trzysta, a pan daje sto pięćdziesiąt! najlepszemu przyjacielowi swemu! człowiekowi, który dba o pana więcej, niż pan sam!

— Słowo daję nie mam więcej w pugilaresie! Tamte papiery naprawdę nie moje!

— A w portmonetce? nic pan nie masz?

— Mam trochę złota...

— Daj pan! wszystko jedno... co braknie do trzystu, to mi pan później doda! spotkamy się przecież!

Minczewski westchnął, potem dobył z pugilaresu sto pięćdziesiąt rubli, następnie zaś wyjął portmonetkę, a z niej dziewięć złotych pięćorublowek.

— Zostawiam sobie tylko pięć rubli i trochę drobnych — rzekł, podając Blau'owi pieniądze — ale proszę pana jeszcze raz, panie Blau — niech pan zaniecha tych żartów! poco ciągle jedno w kółko powtarzać?

— Ha! zrób pan co nowego, będziemy mieli świeży temat!

— Z panem to doprawdy nie można gadać!

— Można, można, panie Minczewski! pan o tem wiesz najlepiej! Ale co tam! nie będę panu już dziś psuć wątroby! chcę się odegrać teraz. No rozmarszcz się pan! do widzenia!

Zakręcił się i znikł w tłumie. Minczewski patrzył za nim czas jakiś przymrużonemi ze złości oczami.

— Żebyś ty raz zdechł, kanalio! mruknął i posunął się ku Okólskiemu, przechodzącemu mimo.

Zatrzymał go za rękaw.

— No? już?

— Idę teraz stawiać — odparł Okólski.

— Więc zaraz jedziemy.

— Aż się bieg skończy! chcę się przecież dowiedzieć, czy ten bilet nam szczęście przyniesie! Stawiam umyślnie na takiego "fuksa", że jeżeli ta szkapa przyjdzie, to zapłacą ze sto rubli!

— Całe pięćset pan walisz?

— Nie, tylko dwieście. — Ale jeżeli wygramy to uwierzę, że nareszcie trafiliśmy

na właściwą drogę!

— Co tam wygrana! Główna rzecz, żeby poszło!

— Pójdzie! zobaczysz pan. Więc spotkamy się na trybunie?

— Dobrze. Idź pan już!

— Idę!

Konie wychodziły już na tor. Pole było dość liczne, stawało bowiem dziesięć koni, w tym cztery czołowe bieguny wielkich, znanych stajen. Minczewski wszedł na trybunę i stanął w jednej z pustych łóż. Był trochę niespokojny i ręce mu drżały nerwowo. Dla nabrania równowagi dobył lornetę i zaczął przypatrywać się koniom. Wyścig był dwuwiorstowy, startowano więc z przed trybun i publiczność przypatrywała się bacznie.

— Patrz pan na tego karego — dżokej w wiśniowej kurtce w czarne pasy, drugi od bandy — mówił Okólski, stając przy nim — na tego gramy!

Bankier opuścił lornetę.

— No... co..? poszło..?

— Ależ naturalnie! jak po maśle.

— Wzięli?

— I resztę wydali! Ani im do głowy nie przyszło jaki paradny robią interes!

— I wszystko dobrze?

— Ależ dobrze! Sto razy mam powtarzać? Me denerwuj się pan!

— Możeby lepiej zaraz jechać..?

— Zwaryowałeś pan, czy co? niechże się przekonam jak się bieg skończy! Postawiłem na siódemkę, tego karego co idzie drugi od bandy. Największy gałgan z tej całej stawki — ale stajnia dobra, Sonnenberga. Nie można powiedzieć, żeby absolutnie szans nie miał... W wyścigu, widzisz pan, wszystko zależy od nieprzewidzianych okoliczności. Ten "Floridor" nigdy nic nie zrobił, jest dużo niższej klasy od koni Grabowskiego i Łazarewa — ale jego stajnia na darmo go nie puszczała, gdyby nie było rachuby na... szansę wypadkowe! Mieli do tego biegu zapisanego innego konia, lepszego i wycofali go, a temu każą gonić... w tem może coś być...

— Żeby tylko tam w kasie nie było nic! westchnął Minczewski.

— Przystaniesz pan wzdychać? czego się pan boisz? nie przeszkadzaj mi pan obserwować.

Na tor wyszedł już starter. Konie podchodziły do taśmy, równały się — nagle taśma poszła w górę, stary Connor trzasnął z tyłu z harapa, kontrstarter opuścił chorągiewkę i cała dziesiątka koni runęła w wyciągniętym galopie na zieloną wstęgę toru.

Okólski przyłożył lornetkę do oczu.

— Wolno jadą — mówił — nikt nie chce prowadzić... wychodzą za narożnik, ciągle jeszcze razem... Sloan się wysunął — i znowu wstrzymuje — bardzo wolny wyścig — co to jest, że nikt nie chce prowadzić — no, teraz dopiero! Sloan na przedzie, "Liliput" go pilnuje tuż — nasz "Floridor" dobrze idzie, trochę daleko — o, poprawia miejsce — są już w dołku — i rzną się dwa pierwsze konie — co? już baty?! I na drugich miejscach walka! Dziwny wyścig! Dochodzą do stajen — Sloan ma dosyć — a "Liliputa" nacierają! Słuchaj Minczewski! Floridor idzie na trzecim miejscu już — i ma bandę, słowo daję! Ach! coby to było! Patrz, patrz! "Liliput" się skończył — odpada no, teraz prosta! "Galopada" i "Master Jack" wyszły razem, ale idą pod batami — a Richard na naszym jedzie spokojnie — co? wypycha go!! heca! "Floridor" wychodzi!! A to historia! Majątek niesie ta szkapa! Brawo "Floridor!!" brawo Richard!! patrz! — nie mogą go dojsć! Brawo, brawo! hep, hep, "Floridor'!! wygrał!!!

Na trybunach powstała wrzawa. Skończony outsider "Floridor" minął celownik pierwszy bijąc o dwie długości cztery czołowe konie i jeszcze pięć innych, z których każdy był lepszy od niego.

Ale wyścig był "czysty". Z punktu sportowej techniki nic mu nie było można zarzucić. Klasowe konie za późno zaczęły wlczyć i później zarznęły się w szalonym tempie, na trzeciej części dystansu. Nim wyszły na linię prostą, były skończone, a wyczerpanie ich wyzyskał Richard, nim się inni jeźdźcy, jadący tylko o miejsce, spostrzegli.

Trybuny huczały. Na całym wyścigowym placu powstał żywy ruch, wywołany niespodziewanym rezultatem wyścigu. Dużo osób grających "na pewniaka" na faworytów, przegrało. Bardzo nieliczni byli ci, którzy jak Okólski, schwycili drobną szansę prawdopodobieństwa wygranej. To też przed wagami powstał mały tumult, kiedy wracali z toru pokonani faworyci. Publiczność szemrała, słyhać było syki i gwizdania. Dżokeje wzruszali ramionami, usiłowali się tłómaczyć. Tu i owdzie z pośród tłumu zwracał się jakiś namiętniejszy gracz do komisji sędziowskiej z propozycją unieważnienia gonitwy, podsuwano myśl

protestu, którego jednak żaden z jeźdźców nie założył.

Okólski z Minczewskim dostrzegli zdaleka czerwoną chorągiewkę przy tablicy, na której wywieszono numery zwycięzców i uspokojeni podszli do totalizatora. Było tu dosyć pusto, bo szczęśliwych, co trafili wygraną, było niewielu.

Nareszcie wywieszono kwotę.

"Floridor" płacił dwieście czternaście rubli za dziesięć!

Cyfra taka rzadko się zdarza w wypłatach totalizatorowych. Bywają i większe, ale są to wszystko niespodzianki, zwane w języku graczy "fukсами".

Okólski z tryumfem spojrział na Minczewskiego i podszedł buńczucznie do okienka, podając zwitek żółtych tykietów.

Kasyer odebrał je, przeliczył i począł płacić.

Minczewski w czasie liczenia pobladł jak ściana i napróżno usiłował zapanować nad nerwami, które nim trzęsły.

Ale zanim wrócił do równowagi Okólski odchodził już od okienka, uśmiechnięty i wesół, z dumnym spojrzeniem chowając w pugilares czterdzieści dwie setki i osiemdziesiąt rubli drobnymi banknotami.

Milcząc doszli teraz do wyjścia, wsiedli do oczekującego ich ekwipażu i pojechali do miasta, nie zauważywszy wcale, że z górnej galeryi trybuny przyglądał im się bacznie, choć niby od niechcienia, pan Hektor Blau.

Wyścigi kończyły się. Gonytwy: szósta i siódma były mniej interesujące, choć grano z niesłabnącą werwą. Większych wypłat już nie było jednak. W ostatnim biegu szedł ogier stajni Łazarewowskiej, ogólny faworyt, na którego rzucili się wszyscy, chcąc jako tako powetować poniesione w piątej gonytwie straty. Koń wygrał łatwo i płacono zań zaledwie ośmnaście rubli z kopiejkami.

Ale wygrało teraz bardzo dużo osób i przed okienkiem totalizatora był ścisk i gwałt. Stał tam i pan Hektor Blau, przed tą samą kasą, która wypłaciła Okólskiemu taką znaczną kwotę i w szeregu czekał swojej kolei.

Jakiś elegancki jegomość, o semickim nieco wyglądzie, odbierał właśnie przed nim wygraną i zaszło z kasyerem jakieś nieporozumienie.

— Co mi pan daje takie grube pieniądze! — mówił do kasyera elegant — gdzie ja zmienię pięćset rubli teraz! daj pan setkami chociaż!

- Nie wystarczy mi na inne wypłaty, niemogę — oponował kasyer.
- Co to niewystarczy! Jakto nie wystarczy! Towarzystwo dosyć dziś wzięło!
- Towarzystwo nie ma obowiązku płacić monetą, jakiej ktoś specjalnie wymaga — niech pan nie zabiera czasu — tyle osób czeka jeszcze!
- Niech mi pan zmieni tę pięćsetrublówkę, panie kasyerze! — mówił nie ustępując elegant — ona taka jakaś nowa, taka gruba... ciągnął, podnosząc do światła banknot.

Blau spojrzał nań przez ramię.

- Nie mogę — nie marudź pan! nie znasz pan pięćsetrublówek, czy co? mówił kasyer zniecierpliwiony.
- Co to jest: nie znasz pan?! ja pieniądze znam — ale ta jakoś, taka dziwna, — trochę jakby za jasna...
- Zdaje się panu, doskonała, nowiuteńka...
- Chętnie ją panu zmienię, ja — z tyłu rzekł nagle Blau.

Elegant się obejrzał.

- Aaa... doprawdy... ja panu będę bardzo wdzięczny... pan... Blau? nieprawdaż?
- Tak, we własnej osobie, panie Rothgelbgrün! zmienię panu ten banknot, tylko odbiorę wygraną moją — właśnie potrzebna mi pięćsetrublówka.
- Pan też grał?
- Trochę... może pan mnie puści i zechce obok zaczekać?

Pan Rothgelbgrün usunął się, pan Blau odebrał z okienka wygraną i podał mu pięć storublówek.

- Doprawdy, pan jest bardzo uprzejmy — dziękuję serdecznie — taki gruby pieniądz to trudno zmienić...
- O, nie krępuj się pan — robię sobie wygodę — potrzebuję właśnie pięćsetrublówki, a ta — jest wyborną — takiej szukałem!
- Jakto — takiej? Czy pan myśli że...

— Nic nie myślę, kochany panie! szukałem takiej, to jest zupełnie nowej, z pod stempla! do widzenia panu! i ja dziękuję.

Zamienili ukłony.

Hektor Blau wolno skierował się ku bramie, wyszedł, obejrzał się, mrugnął na stojącego przed wyjściem rewirowego i poszedł wolno ulicą Kaliksta. Minąwszy kilka domów wszedł w bramę jednego z nich i stanął. Za chwilę ukazał się rewirowy!

— No.. ? gdzie pojechali? zapytał szybko Blau.

— W restoran Stempkowskawo — raportował rewirowy.

— Dobrze. Możesz pan iść i niech tu zajedzie drynda!

W pięć minut później Hektor Blau jechał jednokonką w kierunku Placu Teatralnego i w notesie swoim zapisywał te krótkie słowa: *do obrachunku z M. na wyścigach — 195 rb. a Cto 300 rb. — M. winien 105 rb. i za "nowego ptaszka" 500 rb. + procent 500 rb. razem 1105 rb. i 25 kop. za dorożkę z wyścigów do Stępka."*



NOTATNIK POLICYJNEGO AGENTA.

Notatka przytoczona na końcu poprzedniego rozdziału, pochodzi naturalnie z nieocenionej, szczęśliwym trafem w Gdańsku przeze mnie kupionej książeczki, której, dzięki wybornemu futerałowi, nie uszkodziła woda wiślana.

Notatka ta nie jest pierwszą. Poprzedza ją wiele innych, ale wszystkie one są stylizowane tak zwięźle i tajemniczo, że trudno bardzo odrazu dojść ich znaczenia. Ta, którą przytoczyłem, miała jednak komentarz.

Przedewszystkiem litery M. i O. Litery te powtarzają się w całym notatniku dość często w związku z różnymi cyframi. Widać, że sprawa, do której się odnosiły, trwała dość długo, była jedną z ważniejszych w działalności Hektora Blau'a i że odnosił on się do niej z pewnym pietyzmem.

Bo oto właśnie przed owymi cyframi, zapisanemi pod datą 12 września 1901 r. do obrachunku z panami M. i O., znalazłem kilkanaście wierszy, dopisanych widocznie później, zapewne w domu, a w każdym razie nie w dorożce, pismo jest bowiem zupełnie spokojne i równe.

Oto co zawierają te wiersze:

"Jestem rad z siebie. Przewidywania moje nie omyliły mnie. Zrobiłem dobrze, zostawiając M. na świeżem powietrzu. To wyborny materyał. Pali się wciąż. Niestrudzona głowa. Coraz nowe pomysły. To jest typowy pan. Idzie przebojem. Ogromnie ślizki. Gdybym go tylko popuścił, prysnąłby! I zrobiłby karierę. Ale go trzymam. Dobrze trzymam. Na mocnej nici. Mógłbym nawet grubo zarobić, przecinając tę nić zupełnie. Nie chcę. Pieniądz, to plewa. Za żadne pieniądze nie kupię tej przyjemności, jaką mam z niego. Targa się, szamocze — a ja trzymam. Ile razy zwinie skrzydła i siedzi niby spokojny, ja popuszczani trochę. Wtedy szarpnie się nagle i poczuje, że moja nić oplatała go jeszcze mocniej. A! co to za rozkosz obserwować taką szarpaninę! Patrzyć jak zaplątuje się sam coraz lepiej!

Nie ściągnę nici, póki tylko się da. Obawiam się tylko, że tamci przyśpieszą tę chwilę. Taki O. na przykład. Błazen! zwyczajny alfons, w szlachetniejszym może nieco gatunku. On najprędzej się załapie. Gorączka, ciasna głowa, ani źdźbła bystrości. B. jest sprytny, ale to mały typ. Gr. ciężki, zwyczajny, ordynarny rybak w męnej wodzie. Inni małoznaczący. Jeden M. dzielny człowiek. Wspaniały typ. Ale on niedługo już nie da rady tamtym. Wtedy będę zmuszony nitkę ściągnąć,

wziąć ich wszystkich w garść. A szkoda! Taka sposobność obserwacji i zabawy nie prędko się zdarzy. Dziś ludzie zordynarnieli w wy stępkach. Same grube, pospolite łotrostwa. Cyzelować nie umie nikt. W dodatku taki M. i wszyscy ci jego ludzie byli pożyteczni w drobnych kłopotach. Szkoda!"

Kiedy czytałem powyższe słowa, zdawało mi się, że widzę szczupłą, bladawą i nieco zmęczoną twarz Hektora Blau'a, obserwującą kręcenie się kilku much, zamienię tych między przezroczystymi szybami.

Zdawało mi się, że widzę jego wyraziste, przenikliwe, jak ostrza, oczy, okrążone czerwoną obwódką, śladem spędzonych na hulankach nocy, wpatrujące się z zagadkowym jakimś wyrazem w te kilka -niuch, daremnie usiłujących się wydostać z matni, — doskonale złapanych.

W spojrzeniu tych błyszczących, przenikliwych oczu, była jakaś nadzwyczajna ciekawość i emocja oczekiwania, i zimna zaciętość, i odbłyśki srogości, i bezlitosna a przebiegła obojętność na łup czyhającego pająka, i nawet mgły odczuwanej rozkoszy, w chwilach, kiedy muchy rozpaczliwie o twarde i zimne uderzały szyby.

Zdawało mi się nawet wówczas, że mają one na korpusie owadów, ludzkie maleńkie główki o zupełnie wyraźnych twarzach.

Te same twarze widziałem w dwa lata później, w sali pełnej uroczystego nastroju, uszykowane w dwa rzędy w drewnianej, zamkniętej ławie, dookoła której stali ludzie w ubraniach z błyszczącymi guzikami i mieli przy boku broń, a twarze obojętne, surowei srogie...

Materyał, zawarty w zakupionym w Gdańsku notatniku, musiałem uzupełniać relacjami ludzi, którzy znali dobrze za życia Hektora Blau'a i słyszeli od niego niejedno ciekawe odpowiadanie.

Nie mogę wciąż wskazywać tych źródeł, których było tak wiele, dlatego wspominam o nich w ogólności, pragnąc wyjaśnić czytelnikom, na jakiej zasadzie próbuję powiązać te rozproszone epizody w powieściową całość.

Chciałem — o ile słabe siły pozwolą — przekazać potomności sylwetkę człowieka niepospolitego, jakim był zgasły przedwcześnie Hektor Blau.

IV

PAJĄK I MUCHA. W GABINECIE BANKIERA.

Była godzina szósta wieczorem, kiedy ze zbyt kownie urządzonej klatki schodowej w jednym z nowych i pięknych domów przy Marszałkowskiej ulicy, wynurzyła, się na załamku pierwszego piętra smukła i gibka postać Hektora Blau'a. W domu tym i na tem piętrze mieszkał bankier Minczewski. Blau stanął przed jego drzwiami, uśmiechnął się i dyskretnie nacisnął guzik elektrycznego dzwonka.

Otworzył dobrze ubrany lokaj.

— Pan Minczewski w domu? — zapytał Blau.

— Niewiem.... zaraz zobaczę, proszę pana...

— Nie fatyguj się kochanku. Pan jest napewno. O tej porze jest zawsze. I przyjmie mnie niezawodnie. Powiedz tylko, że przyszedł ten pan, co to kupuje Putiłowskie i Bałtyckie akcje — to mówiąc Blau wszedł i zawiesiwszy laskę na szaragach, począł spokojnie zdejmować paltot.

— Pan będzie łaskaw poczekać — rzekł służący, otwierając drzwi do salonu — zaraz zamelduję...

Blau wszedł do ładnie urządzonego saloniku, usiadł i czekał.

Wnet usłyszał w sąsiednim pokoju szybkie kroki i portyera w drzwiach gwałtownie się odchyliła. W progu stał Minczewski z twarzą drgającą nerwowym tikiem, który daremnie usiłował powstrzymać.

— Pan u mnie? — zapytał cichym głosem.

— Witam kochanego pana — odrzekł swobodnie Blau, wstając z wyciągniętą do uścisku ręką — dziwi się pan mojej wizycie?

— Nie przychodził pan nigdy do mego mieszkania dotąd — odrzekł bankier, machinalnie przyjmując podaną dłoń.

— A dziś przyszedłem. Czy może wizyta moja nie na rękę panu? przeszkadzam może? ma pan kogoś u siebie?

— Nie to... ale...

— Nie! ah, więc tylko nerwy pańskie! no — przepraszam. Gdybym był wiedział, nie byłbym przychodził. Ale doprawdy — pilno mi było zobaczyć pana.

— Cóż się stało takiego?

— Czy miało się co stać?

— Niewiem — ja niewiem — powiadasz pan że pilny interes...

— Ah, pytasz pan o interes!...

— Cóż takiego?..

— Może siądziemy? Zmęczyłem się... szedłem bardzo prędko... chciałem pana koniecznie zastać w domu.

— Siadajmy... proszę... więc o co chodzi?

— Pan ładnie mieszka! Drogo pan płaci tutaj? — mówił Blau wolno, przyglądając się bankierowi z nieokreślonym uśmiechem.

— Tysiąc dwieście rubli. Ale mniejsza o to! Więc ten pilny interes?

— Ooo! Chce się pan mnie pozbyć? może jednak pan naprawdę zajęty w tej chwili? — ja poczekam!

— Ależ wcale nie! słucham pana!

— 1 nie przeszkadzam panu — w niczem? naprawdę?

— Nic a nic! Upewniam...

— To doskonale. Bo nie lubię być natrętnym. I gdyby pan miał jaki interes — hm! lepiejby było załatwić go najpierw...

Minczewski z bladego robił się zielonkawy. Wstał nagle i podniósł rękę do czoła.

— O, niechże się pan uspokoi — rzeki Blau znowu — chciałem panu dać czas tylko.

— Do czego?!

— Do załatwienia interesów...

Minczewski postąpił kilka kroków ku drzwiom sąsiedniego pokoju. Na czole jego zaperlił się pot.

— Mów pan — rzekł jakimś zdławionym głosem — czy pan... przychodzisz... tu... żeby... mnie... mnie...

Nie mógł skończyć. Urwał.

Blau wstał zwolna i wbijając spojrzenie swe w szeroko roztwarte, osłupiałe jakieś nagle źrenice bankiera, milcząc i uśmiechając się wciąż, szedł ku niemu.

Stanąwszy tuż, wziął go za klapę żakietu. Minczewski mimowolnie lewą ręką uchwycił rąbek zwieszającej się portyery. Był teraz zielono-siny.

— Jaki pan jesteś nerwowy! — zaczął Blau, nie przestając się uśmiechać i patrzeć mu w oczy — pan powinieneś się leczyć, to poważna choroba! Pytasz pan poco przyszedłem i niewiem dlaczego boisz się mojej odpowiedzi! Czego się pan lękaasz?

Minczewski odwrócił głowę z wysiłkiem, odrywając oczy od błyszczących źrenic Blau'a.

— No, no! pan gotów zemdleć! Uspokój się pan! może szklanek wody — zadzwonić?

— Nie, nie! nie trzeba!

— Usiądź-że pan! pogawędzimy — przyszedłem... hm! — prosić pana o małą drobnostkę!

Minczewski odetchnął z ulgą.

— Pan jesteś straszny człowiek! — rzekł.

— Nawet wówczas, kiedy przychodzę prosić o... małą przysługę?

— Zawsze! bodaj bym pana nie znał! O co idzie?

— I znów się pan unosisz! a wzruszenia szkodzą panu, prawda? Mój Boże! cóż ja temu jestem winien, że pan masz chore nerwy!

— Które pan zawsze męczysz! Powiedz-że pan, co mam panu zrobić, czy dać?

— Zaraz. Zapalmy wpierw papierosa. Minczewski z rezygnacją podał papierośnicę.

— O! są cygara! Upmann, prawda? to ja wolę cygaro!

Znów zapalał zwolna.

— Powiedział pan — rzekł nareszcie, puszczając kłęb dymu — "zrobić czy dać?" Otóż skoro mam już wybierać — wolę to drugie! tem więcej, że po to właściwie przyszedłem.

— Ileż panu potrzeba?

— O to niech się pan nigdy nie pyta! Ile mnie potrzeba? Tyle mi pan dać nie może!

— Więc ile pan chcesz?

— Hm! mamy tu mały rachuneczek, jeszcze od wczoraj — została u pana reszta z tych trzystu — no i coś jeszcze!

— Ileż razem?

— Tysiąc sto pięć rubli i dwadzieścia pięć kopiejek!

— Tysiąc rubli!?!

— Tak. Tysiąc sto pięć — i kopiejek dwadzieścia pięć!

— Daj pan pokój z żartami!

— Jestem ścisły tylko.

— Jakto? w czym ścisły?

— W rachunku.

— Ależ w jakim?

— Zaraz objaśnię kochanego pana. Z wczorajszych trzystu rubli zostało się sto pięć do dopłaty — wczoraj wygraliście z panem Okólskim przeszło cztery tysiące. Jużto z pana "fuksiarz" prawdziwy! a dwadzieścia pięć kopiejek za dorożkę z wyścigów do Stępka, gdzie musiałem pojechać, żeby się dowiedzieć ileście wygrali!

— Wygrał Okólski, nie ja!

— Ze wspólnej kieszeni była stawka, wspólna więc wygrana!

— Mylisz się pan! Okólski sam grał! Ja nie grywam nigdy!

— No, przynajmniej rzadko na wyścigach. Ale wczoraj opłaciło się grać!

Minczewski milczał chmurny.

— Ha, muszę wierzyć! a szkoda! bo liczyłem, że się u pana zasile, a tak będę musiał ruszyć pieniądze, które przeznaczyłem na inny cel! Może mi pan to choć ułatwi — przez grzeczność — nie mam zupełnie drobnych, a za pół godziny muszę komuś płacić rachunek — więc może mi pan zmieni tę pięćsetrublówkę?

To mówiąc wyjął szybko banknot i położył przed Minczewskim na stole.

Bankier pochylił się raptownie nad nim i w tej chwili podniósł głowę. Prawa jego ręka podniosła się błyskawicznie i opadła szybko, jakby powstrzymana jakimś wewnętrznym wysiłkiem. Z twarzy znów uciekła mu krew i patrzył na banknot szeroko otwartymi oczami.

Naprzeciw niego Hektor Blau puszczał wonny kłąb dymu, przyglądając mu się i mrużąc powieki.

— Zmieni pan, prawda? — rzekł — taka drobna przysługa!

Minczewski wstał wahając się, blady i zmieszany.

— Dobrze... zmienię zaraz... — i chciał wziąć banknot.

— Nie, nie — przynieś pan pieniądze tu — potem pan weźmie — rzekł szybko Blau.

— Dlaczego? nie wierzysz mi pan?

— Panu? zawsze! ale tak będzie lepiej — no! idź pan po pieniądze!

Głos agenta ze słodko uprzejmego stał się nagle szorstki, rozkazujący i twardy. Minczewski patrzył nań osłupiały.

— Przynieś pan pieniądze! słyszałeś? tysiąc sto pięć rubli i — dwadzieścia pięć kopiejek! Prędko!

Minczewski wyszedł. Po jego wyjściu Blau wyjął z kieszeni pugilares, ze środka nową pięćsetrublówkę i zamienił ją z banknotem leżącym na stole. Ten ostatni schował troskliwie do osobnej przegródki portfela.

Minczewski wrócił, niosąc kasetkę z pieniędzmi i usiadłszy, począł liczyć z niej pieniądze. Blau rachował pilnie. Gdy bankier skończył, zwinął banknoty i zgarnawszy złoto, przysunął pięćsetrublówkę ku niemu.

— Dziękuję — mówił znów słodko — teraz możesz pan sobie wziąć te pięćset... ale, ale! obejrzyj pan dobrze ten banknot — podobno zaczyna ktoś podrabiać

pięćsetrubłówki. Ja się na tem nie znam, ale przykroby mi było niezmiernie, gdyby pan przeze mnie stracił.

Minczewski machinalnie brał banknot, gdy Blau zaczynał mówić. W miarę jego słów przyglądał się pięćsetrubłowce i zdumienie jego nie miało granic... Czyżby się łudził poprzednio? banknot wyglądał doskonale...

Blau uśmiechał się rozkosznie. Chwilę trwało milczenie.

— Widzę, że badasz pan skrupulatnie ten banknot — rzekł agent w końcu — musisz pan znać się doskonale na wyglądzie i cechach papierowych pieniędzy. No i cóż? dobra ta pięćsetrubłówka, czy, broń Boże, fałszywa?

Minczewski milczał. Nie rozumiał już nic. Mózg jego świdrowało pytanie: wie, czy nie wie?

— No? nie może pan poznać? pomogę panu! — sięgnął do kieszeni — widzi pan, ja też wczoraj trochę wygrałem, no i w totalizatorze dano mi pięćsetrubłówkę, którą podejrzewam — o, ta właśnie!

To mówiąc dobył banknot i rozłożywszy go, pokazywał bankierowi w ręce.

Minczewski milczał wciąż. Przerażone jego oczy wbiły się w pokazywany banknot, twarz skręcała mu się zupełnie w gwałtownym, nerwowym skurczu.

— No, która prawdziwa? — pytał drwiąco Blau.

Milczenie.

— Nie możesz pan rozpoznać? — ciągnął, biorąc ze stołu drugi banknot — a taki ekspert z pana! te ja panu powiem: ta jest nieco jaśniejsza w kolorze i troszeczka grubsza! Nie umiano dobrać papieru! przytem przez lupę widać pewne szczegóły na portrecie cesarza Piotra, niewykończone. Widocznie klisza zdejmowana z prawdziwego banknotu była za mało wyświetlona. Powinieneś pan zmienić fotografa, panie Minczewski! ten Binder jest za mało staranny w takiej delikatnej robocie!

— Panie Blau...

— Co, kochany panie Minczewski?

— Niech mi pan powie nareszcie...

— Skąd ja to wszystko wiem? o, poco panu ta ciekawość! Przecież ja się pana *jeszcze* o nic nie pytam!

— Oddaj mi pan ten banknot!

— Aa! Poco? Co panu po fałszywej pięćsetrublówce! schowam sobie na pamiątkę!

— Panie Blau! nie męcz mnie pan... Co pan chce zrobić z nią?!

— Hm! jaki pan jednak ciekawy!

— Panie... proszę pana, odpowiedz mi pan!

— Kiedy jeszcze sam nie wiem co zrobię! Schować chyba? co? mogę ją panu pokazywać od czasu do czasu...

— Mogę liczyć na to?..

— Wątpisz pan? fe, kochany panie nie wierzyć przyjacielowi...

— Odwdzięczę się panu...

— Poco o tem mówić! Ja sam powiedziałem, że od czasu do czasu pokażę ją panu, skoro tak tego pragniesz. Tylko miej pan zawsze wtedy prawdziwą drugą, żebyśmy mogli porównywać sobie. Ja także w wolnych chwilach będę ją oglądał, a że nie mam prawdziwej do porównania — więc wezmę tę oto!

Spokojnie schował oba banknoty do pugilaresu, a ten ostatni w kieszeń.

Minczewski milczał.

— No — na mnie czas! muszę kochanego pana pożegnać! — mówił Blau, zapinając surdut. — Niech pan poradzi panu Okólskiemu, zacny panie Minczewski, żeby on przeglądał swoje pieniądze, nim je gdzie w kasie zechce ulokować. Mógłby być kłopot-on bardzo nieostrożny. I panu także radzę uważać — od czasu Putiłów i Bałtyków jest wprawdzie duży postęp w technice — ale jeszcze za mało staranności. Do widzenia, kochany panie, niedługo znów dowiem się o pańskie szacowne zdrowie — pańskie nerwy niepokoją mnie! Do widzenia więc, drogi przyjacielu!

Wychodził z pokoju uśmiechnięty, cały w ukłonach.

Lokaj przy podawaniu palta, dostał trzyrublówkę.

Minczewski usłyszawszy łoskot zamykanych drzwi wejściowych, padł jak martwy na otomanę, wciskając głowę w aksamitne poduszki.

Tego samego wieczora otrzymał pan Antoni Okólski bilecik, wzywający go na

rendez-vous w pilnej sprawie z bankierem.

ODROBINA PSYCHOLOGII.

W notatkach Hektora Blau'a, zawartych w owej nieocenionej, w Gdańsku odnalezionej książeczce, znajduje się materiał trudny bardzo do odcyfrowania w stosunku do konkretnych faktów, ale zato pozwalający odbudować coś więcej nad ich przebieg, skoro nareszcie klucz się odnajdzie.

Uderza w nich szczerłość i autorefleksja. Sposób, w jaki Blau notował wypadki obchodzące go z zawodu, określa wyraźnie stosunek jego do aktorów tych wydarzeń, rodzaj i charakter jego w nich uczestnictwa, a nadto uwydatnia doskonale cały psychologiczny proces, jaki odbywał się w umyśle i w duszy agenta.

Po tragicznym i tajemniczym zniknięciu jego w styczniu 1907 roku, wszystkie dzienniki warszawskie podawały życiorys tego dzi-

wnego człowieka i wszystkie zaznaczyły ten charakterystyczny szczegół, że Blau był człowiekiem zamożnym i że służył w policji pod wpływem silnego bardzo i niemniej oryginalnego upodobania. Niektórzy jego biografowie tłumaczyli wprawdzie to amatorstwo potrzebą zdobywania dużych środków dla zaspokojenia skłonności do różnego rodzaju zabaw, które niejednokrotnie przechodziły w orgie, a w których Blau coraz więcej gustował. Ale tłumaczenie to zdaje mi się być trochę płytkiem. Z notatek Blau'a, bez wątpienia ogromnie szczerych i dla własnego tylko pisanych użytku, snuje się wyraźna linia psychologii wyjątkowej, odrębnej zupełnie od zwykłego szablonu duchowego ludzi przeciętnych. Jestto jak gdyby jakaś dziwna namiętność do obserwacji ludzkiego cierpienia, dochodząca naturalnie bardzo często, aż do brutalnego i wyrafinowanego wywoływania jego objawów.

W historii spotykamy takie typy. Ale historia zajmuje się przeważnie ludźmi stojącymi na stanowiskach bardzo wybitnych, pomija więc wiele jednostek, których życie nic wpłynęło na ogólne dzieje.

Nazwisko Hektora Blaua nie przejdzie zapewne nigdy do skróconych podręczników historii, ale znajdzie się niewątpliwie nie na jednej kartce różnych monografii tych dziwnych lat, które Warszawa przeżyła i jeszcze przeżyje na początku dwudziestego wieku. Gdyby jednak jaki badacz — psycholog — lekarz o czasach tych napisał studjum i pragnął wykazać wpływ współczesnego ruchu na umysły ludzkie, gdyby chciał zastanowić się nad zbrodniami, które w nich pod tym wpływem powstały — nie mógłby opuścić

demonicznej postaci Hektora Blau'a. Musiałby nawet zostawić mu wydatne, honorowe miejsce, co najmniej rozdział osobny.

Tak myślę i dlatego właśnie przypuszczam, że owe "seksualne" zboczenia mojego bohatera, jak nazwały niektóre dzienniki jego rozwiązłe gusta, były nie przyczyną, a następstwem zawodu, któremu poświęcił się z takim upodobaniem.

Psyche Blau'a rozkoszowała się przedewszystkiem samym aktem ludzkiego cierpienia. Analizowała jego szczegóły, wywoływała objawy i przez tę drobiazgową obserwację dochodziła do stanu pewnego silnego napięcia, które wyładowywało się, jak mocne podrażnienie zmysłowe. Wszystkie stany psychologiczne poza pewną, dość daleką granicą, tracą cechy odrębne — nabierają zdolności do uchodzenia jedną i tą samą klapą bezpieczeństwa ludzkiego organizmu — zmysłami. Tak utrzymuje Lombroso, Mantegazza, Bertillon.

Psyche Blau'a brała w dłoń drgające bólem nerwy bliźniego, szarpała je, elektryzowała się, jak butelka lejdejska, temi drgawkami, chłonęła chciwie każdy dreszcz strachu i grozy każdy jęk i okrzyk bóleści — sączyła, jak wampir, kroplę po kropli krew swoich ofiar — potem rozpiniała prężące się namiętne płetwy zmysłów i zanurzała się w wyrafinowanej rozpuście.

W tym człowieku bardzo inteligentnym, wykształconym ponad zwykłą miarę zawodu, ogromnie bystrym i przenikliwym, pełnym determinacji i przebiegłości, wolnym od wszelkich skrupułów i pewnym siebie — było coś z Nerona i coś z markiza de Sade (1); coś z Filipa Barere (2) i coś z Elżbiety Nadasdy (3) — były nawet rysy Holmesowskiej energii, obok brutalności zwykłego siepacza.

Taki Gaboriau, Boisgobey lub Ponson du Terrail znaleźliby w tym człowieku obfity, wspaniały materyał.

Żałuję, że nie posiadam tego, co oni talentu!

(1) Markiz Franciszek de Sade. znany z wyrafinowanych zboczeń seksualnych, współczesny Ludwika XVI, autor rzadkich, bo spalonych podczas Rewolucji wyjątkowych w lubieżności romansów.

(2) Filip Barere, jedno z najohydniejszych i najkrwawszych narzędzi Robespierre'a w czasie Rewolucji.

(3) Elżbieta Nadasdy, sławna magnatka węgierska, która zamrażała żywcem poddane swoje, wybierając najpiękniejsze i każąc je nagie, oblewać na mrozie wodą, póki nie skonały w jej oczach. Brała także kąpiele z krwi młodych

dziewczyn, którym na ten cel kazała rozciąć żyły i obserwowała ich konanie.

VI

GRATKA!

Hektor Blau był bardzo zajęty w jesieni 1901 roku. Śledził życie i ruch całej gromadki ludzi, którzy zainteresowali go wyjątkowo.

Na czele tej gromadki stał, znany nam już, bankier Minczewski. Był to człowiek pragnący jakimibądź środkami i w jak najprędszym czasie zdobyć duży majątek. Namiętny gracz giełdowy, dotknięty gorączką złota, myślał tylko o sposobach prędkiego z bogacenia się, a będąc wolnym od wszelkich skrupułów, dobierał naturalnie sposoby, ściągane przez prawo, jako środki najszybsze. Wyznawał on- zasadę, że można robić wszystko, byle robić tak, aby na uczynku nie przyłapano, byle umieć uniknąć następstw niezręczności. Zorganizował więc z ludzi znanych sobie dobrze pod względem przekonań i kwalifikacji sprawną szajkę i z jej pomocą rozpoczął fabrykację i obrót fałszywych pieniężnych walorów. Jego bankierskie stanowisko i zaufanie publiczne, które umiał wzbudzić, stanowiły w tej grze duże szansę, a Minczewski i jego towarzysze umieli je wyzyskać. Działanie szajki skierowało się początkowo ku podrabianiu akcji Putiłowskich i Bałtyckich, fałszyfikaty były jednak za mało dokładne i operacją się nie powiodła. Wówczas zaczęto podrabiać pięćsetrublowki. Obrót tych banknotów obliczony był na pół miliona. W jesieni r. 1901 robiono pierwsze próby.

Ale Minczewski i jego towarzysze popełnili w planach swoich wielką omyłkę. Oto nie zwrócili uwagi na istnienie w Warszawie człowieka takiego, jak Hektor Blau. Po prostu nie liczyli się z nim wcale i nic w tym nie było dziwnego, gdyż w owym czasie Blau niczem jeszcze się nie zaznaczył. Zwrócił on jednak baczną uwagę na warszawską finansyerę, od chwili, gdy ujawniono w obiegu fałszyfikaty owych akcji i powodując się swoją niezawodną zdolnością kombinacyjną, począł autorów, niewykłitych przez wdrożone w tej sprawie śledztwo, poszukiwać w drobniejszej plejadzie miejscowych finansistów.

W całym notatniku Blau'a nie mogłem znaleźć wzmianki, któraby tłumaczyła, jakim sposobem wpadł on na trop szajki i w jakich okolicznościach z Minczewskimi i jego towarzyszami się poznał.

W każdym razie pewną jest rzeczą, że znał on w r. 1901 autorów fałszywych akcji i, że nie spuszczał ich ani na chwilę z oka. Ludzie ci stanowili dla niego zupełnie pewny łup; zdobycz ta nie mogła mu się już wymknąć. Ale on nie myślał ich oddawać zaraz w ręce sprawiedliwości. Pozwalał im działać i obserwował ich pilnie. Pozwolił im rzucać się na coraz ryzykowniejsze pomysły i

stawał przed nimi w chwili, gdy go się najmniej spodziewali. Wówczas rozkoszował się męką ich strachu, bawił się nimi, a nawet wyciągał stąd dla siebie znaczne materyalne korzyści, pod postacią haraczu, który ludzie ci opłacali mu, w nadziei okupienia jego milczenia.

Minczewski i jego banda stanowili zwierzynę. Blau, jak dobry pies gończy, polował na nich, gubiąc nieraz umyślnie trop, dla większej zabawy.

Równocześnie zajmował się Blau wszystkim, co interesowało policję. Zwierzchnicy poznali w nim wkrótce człowieka wyjątkowo sprytnego i użytecznego i powierzano mu do śledztwa najtrudniejsze sprawy. Wywiązywał się z nich zawsze z doskonałym rezultatem, skutkiem czego stanowisko jego w wydziale śledczym stawało się coraz wybitniejsze, a w chwili, kiedy spotykamy go po raz pierwszy jesienią r. 1901, był on już faktycznym kierownikiem tego straszego biura i osobistością w policji niezmiernie wpływową.

Rozumiał on doskonale swoją wartość i czuł swoje znaczenie.

Mimo to, zajmował się chętnie, a nawet z amatorstwa i drobniejszemi sprawami. Właśnie leżał w swoim mieszkaniu na otomanie, z cygarem w ustach i myślał, kogo wybrać dziś w ratuszu do badań, gdy do drzwi zapukano lekko.

— Proszę! — rzekł, podnosząc się. Wszedł rewirowy.

— Winował — zaczął od progu — pan naczelnik kazał pana komisarza prosić zaraz do wydziału.

— Do wydziału? A co tam?

— Nie wiem. Prikazano tylko prosić zaraz pana komisarza.

Blau wstał żwawo. Podał rewirowemu cygaro i rzekł:

— Zaraz idę — powiedz pan naczelnikowi, że za pięć minut będę w wydziale!

Rewirowy zasalutował i wyszedł. Blau wziął papierośnicę, portmonetkę z biurka, kastet, rewolwer i laskę i pośpieszył za nim.

W wydziale śledczym naczelnik Hacharow oczekiwał go niecierpliwie.

Blau zastał go w gabinecie w towarzystwie jakiegoś szpakowatego, dostatnio ubranego jegomościa.

— Doskonale, że pan przychodzi, panie Blau! Jest pilna sprawa — duża sprawa!

- Cóż takiego?
- Ogromna kradzież!
- Z włamaniem?
- Właśnie że nie. Sprawa trochę ciemna. Ale pan sobie da z tem radę.
- O Coż chodzi?
- Ten pan przyszedł ze skargą właśnie.
- Nie mam przyjemności.
- To jest pan Piotr Osipowicz. Skomłowski, właściciel kamienicy na Wspólnej.
- Tego pana Okradziono?
- Tak. Ale to najlepiej on sam opowie. Ogromna kradzież! i właśnie pan Skomłowski przyszedł nas prosić o pomoc. Ofiarowuje dziesięć procent od ukradzonej sumy za jej wynalezienie!
- To jaka suma?
- Czterdzieści tysięcy rubli, panie! — westchnął Skomłowski.
- Czterdzieści tysięcy — to nie bagatela! Za wykrycie przypada więc cztery tysiące rubli! — zawołał Hacharow.
- Czy to były papiery procentowe, czy. też sama gotówka?
- Jedno i drugie, proszę pana dobrodzieja — odpowiedział Skomłowski. — Ja to panu zaraz opowiem! niech pan dobrodziej raczy...
- Zaraz! przepraszam pana — rzekł Blau, dobywając zegarek — czy protokół już zrobiony?
- Już, już! — rzekł Hacharow.
- A pan podpisał — *tego?* — pytał Blau Hacharowa. dalej.
- A jakże — odpowiedział naczelnik wydziału — protokół podpisany i *to... wszystko załatwione formalnie* — sam dopilnowałem...

Popatrzyli sobie z Blau'em znacząco w oczy.

— Dobrze. Zajmiemy się pańską sprawą.

— Ja panu dobrodziejowi zaraz wszystko opo... — zaczął Skomłowski.

— Zaraz. Teraz jest szósta — mówił Blau, patrząc na zegarek — pan poczeka chwileczkę, ja tylko wydam dyspozycje potrzebne. Wiejkin na służbie? — spytał znów naczelnika.

— Jest. Badają tam z Markowem dwóch nowych o zegarek — przyprowadzili teraz z czwartego uczestku dopiero co.

— Niech pan zadzwoni.

Hacharow zadzwonił. Wszedł dyżurny.

— Powiedzieć Wiejkinowi — rzekł Blau — żeby czekał na mnie. I zatelefonować do ósmego cyrkułu, żeby pomocnik komisarza Antoszenko, zaraz tu do mnie przyjechał.

— A teraz słucham pana: — zwrócił się do Skomłowskiego, gdy dyżurny wyszedł — tylko niech pan uważa: nie będzie pan opowiadał, tylko proszę dawać mi odpowiedzi jasne, dokładne i jak najściślejsze. Przedewszystkiem niech pan nie mówi dużo, tylko zwięźle, a ściśłą prawdę.

To mówiąc, dobył z kieszeni gruby notatnik i ołówek i przygotował się do pisania.

Skomłowski wtulił głowę w ramiona i skupiał się, patrząc na agenta z wyraźnym szacunkiem.

Ten rozpoczął indagację.

— Pan nazywa się Piotr, syn Józefa, Skomłowski — mówił pisząc — właściciel domu przy ulicy Wspólnej; numer?

— Sto czterdziesty trzeci...

— Mieszka pan w swoim domu?

— Tak, na drugim piętrze w oficynie...

— Pan żonaty? familijny?

— Tak panie dobrodzieju!.

— Jaka rodzina?

- Rodzina? Hm, jakby to powiedzieć...
- Pytam — z ilu osób się składa?
- Żona i ja, proszę pana mego! Syn starszy na uniwersytecie, a młodszy, panie, umarł przed pięciu laty...
- Zatem trzy osoby w domu?
- Nie — dwie tylko.
- Syn mieszka osobno?
- Nie! to jest tak — osobno, za granicą jest, na uniwersytecie!
- No, więc w domu go teraz niema?
- Nie — jak pojechał po wakacjach, to dopiero na Wielkanoc może przyjedzie; pisze, panie, że egzaminy...
- To mnie nie interesuje, proszę pana. Służba jaka? Ile służby w domu?
- Jedna służąca, proszę pana, jedna! |A po cóż więcej? Stróż pomoże...
- Dobrze. Jak się nazywa służąca?
- Katarzyna Dyrdzińska.
- Ma kochanka?
- Co takiego?
- No, czy ma kochanka! czy przychodzi do niej kto?
- A gdzieżby znowu! Moja, żona by tego nie ścierpiała w domu!
- No, więc może ona do jakiego tam lata?
- A, to już, proszę pana, ja o tem nie wiem!
- Powinien pan wiedzieć.
- Przecież jej się pytać nie będę o takie rzeczy!
- Takie rzeczy się wie bez pytania. Ile ona ma lat?
- Hm! dwadzieścia ośm — trzydzieści może...

— Przystojna?

— Eee! proszę pana! ja tam nie patrzę!

— Ale oczy pan masz. Ja nie jestem pańską żoną, więc się pan nie krępuj mówić o tem ze mną. A może — pan sam jest z nią dobrze?

Skomłowski obruszył się.

— Ależ proszę pana! ja jestem znany obywatel! Skądże znowu! takie przy...

— To nic nie przeszkadza. Więc nie?

— No naturalnie! A niechże mnie Pan Bóg...

— Nie. No — to ona ma kochanka na mieście. Trzydziestoletnia służąca i przystojna do tego, musi mieć kochanka.

— Ależ ja wcale nie mówiłem, że ona przystojna.

— Jest przystojna. Grdyby była brzydka, wiedziałbyś pan o tem. Zapisuję: kochanek niewiadomy. Jak dawno służy u państwa?

— Od roku, zdaje się — może nawet trochę więcej... Ale ja jestem pewny, że ona nie ma kochanka!

— Zadowoleni z niej państwo?

— Zupełnie! o, zupełnie. To bardzo dobra dziewczyna...

— Czy żona pańska też z niej zadowolona?

— Moja żona?

— No przecież nie moja!

— Zdaje się zadowolona... czasem trochę ją łaje — narzeka — no, ale kobiety to zawsze...

— Aha! zatem żona mniej... i pan nie wie czy ona jest przystojna. I jest pan pewny, że ona nie ma kochanka. A mnie się zdaje, że ma i — że go znam. Ale na razie mniejsza o to! Proszę pana — panu skąd zginęły te pieniądze?

— Z domu, proszę pana! z własnego mego mieszkania!

— Pan takie sumy trzyma w domu? Ma pan może kasę?

— O nie! w kasie pieniądze się źle trzymają!

— Więc gdzie je pan chował? w biurku?

— Różnie, proszę pana! w biurku, czasem w szafie, czasem w kuferku. Nie lubię, żeby długo leżały w jednym miejscu. Może ktoś dojść. W zeszłym roku chowałem w fortepianie, bo u nas stoi, a nikt nie grywa. Ale raz przyszli goście, zachciało im się brzdąkać — musiałem wyjmować... Więc teraz już gdzieindziej, zwykle...

— Aha! Proszę pana — pan jest człowiek bogaty?

— Bogaty? O, wolno żarty, panie kochany! Ma się tam parę groszy i tę dominę, z której więcej kłopotu, jak zysku — ale żebym ja był bogaty!

— No — jest pan zamożny w każdym razie. Czterdzieści tysięcy gotówki i kamienica, to już ładne parę groszy. Ma pan może jeszcze gdzie jakie fundusze?

— Ale, panie radco, skądżeby?

— Jakie sumy na hypotece? Może jaką rentę — dochody poboczne?

— Nic podobnego! Jak Boga kocham! — Ile państwo rocznie wydają?

— Nie liczyłem dokładnie...

— No, przecież! Dwieście rubli na miesiąc? dwieście pięćdziesiąt?

— Panie radco! czy pan mnie ma za utracyusza?

— Sto rubli miesięcznie?

— Iii! Ani tego nawet!

— Więc pan kapitalizuje procenty?

— A syn, panie, za granicą na uniwersytecie! To nic?

— ile mu pan posyła?

— Sto dwadzieścia rubli, panie radco! W zeszłym roku dawałem mu tylko sto — ale tego roku się uparł, żeby mu podwyższyć. Powiada, że egzamina ma zdawać...

— A ile też pan wydaje po cichu?

- Ja?! A cóż ja, panie! co ja tam mogę wydać!
- Ja nie pytam zupełnie na co. Może być nawet na filantropię. Pytam tylko — ile?
- Kiedy ja nie wiem doprawdy... ja nie tego...
- No — ze sto rubli zawsze się rozejdzie panu w miesiąc: ja to znam. Jest mnóstwo takich drobnych wydatków, zaczynając od papierosów, kończąc na cygarniczce? Nieprawdaż?
- No tak, proszę pana... to się rozumiem... trzeba się restaurować od czasu do czasu, jak nieprzymierzając i ta domina, w której się siedzi...
- A, widzi pan. No dobrze. Pan musi mieć szczęście w kartach?
- Ja w kartach?
- Znam się trochę na fizyognomice. Otóż pan to ma napisane na twarzy.
- Ej, żarty, dobrodzieju! jakie tam szczęście mam! Częściej płacę, niż biorę!
- Chyba w preferansa lub winta. Ale to się nie liczy. Mówię o szczęściu do gry hazardowej. Tak w baka, pokera, lancusia, sztosika...
- Tak? ano — może! Tylko cóż — my nie próbujemy nigdy! niema partyi!
- Nic nie szkodzi. Jak pan kiedy zacznie grać, będzie pan wygrywał!
- A kiedy ja tam zacznę, mój radco! jeszcze teraz, kiedy lichy wzięło całą moją ciężką krwawicę!
- To się odnajdzie.
- Odnajdzie się? Radco złoty! ja obiecałem dziesięć procent — ja nawet rozpisałem się na. to panu naczelnikowi — to jest cztery tysiące, panie! Ale ja i piątego nie pożałuję panu! Słowo obywatelskie!
- Bardzo boleśnie pan odczuł tę stratę?
- Jakżeż nie odczuć, radco kochany! taki pieniądz! Tyle lat ciułałem, odmawiając sobie różnych rzeczy! Toć to jedyny majątek moich dzieci!
- Mówił pan, że macie państwo tylko jednego syna?
- A, tak! tak! Zawsze zapominam, że tamten umarł!

- Tem więcej musi pan kochać, tego, który panu pozostał.
- O, tak! to złote dziecko!
- Kształci się pewnie na inżyniera, jakiego?
- Nie — na doktora; to pewniejsze.
- Kosztowne studia.
- O tak, radco, kosztuje to ciężki grosz! Ale co robić — jedyne dziecko!
- Naturalnie. A nadto młodość ma swoje prawa; musi się trochę wyszumieć.
- No, mój chłopak się tam bardzo nie puszcza. Zresztą studenci takie rzeczy załatwiają po swojemu — nieco taniej i — powiem, bezpieczniej.
- Zapewne. Lepiej nawet, że jest za granicą, bo tu wszelkie wybryki kosztują słono — nieprawdaż?
- Ba! Tu panie ze skóry obdzierają człowieka! jeszcze jak wiedzą, że tam ktoś ma coś!
- Tak, tak. Pan ma doświadczenie. Skomłowski trochę się zmieszał.
- No! dawne rzeczy — zaczął — było się przecież młodym!
- Pan nie jest wcale jeszcze stary.
- Pięćdziesiąty czwarty liczę sobie dopiero...
- Wygląda pan znacznie młodziej. O której pan zwykle wieczorem wraca do domu?
- Różnie. Ale rzadko kiedy po północy...
- Nie chce pan budzić żony. Tak, to niewygodne.
- Wczas wstajemy zwykle... a chociaż ja mam pokój osobny, ale zawsze...
- Tak. I w tym pokoju właśnie były ulokowane ostatnio te pieniądze, które zginęły?
- A tak. Przeniosłem je przed tygodniem właśnie z komody...
- Z pokoju żony?

— Nic — w saloniku jest taka komódka, ma bardzo dobre zamki angielskie...

— Pan wspominał, że część tych pieniędzy była w papierach procentowych. Ma pan spis?

— Oto jest. Dyktowałem już do protokołu numery...

— Poproszę pana o tę kartkę — przepiszę sobie...

Chwilę trwało milczenie.

— Dawno pan też zmieniał kupony? — spytał Blau, oddając notatkę.

— Właśnie przed tygodniem. Wtedy, kiedy prznosił papiery z komody.

— I wtedy pan zapewne obcinał?

— Tak! Jakby pan widział!

— O jakiej to było porze?

— Wieczorkiem. Była może dziesiąta. Wróciłem wtedy na kolację do domu i po kolacyi przeniosłem papiery do siebie z salonu i poobcinałem kupony, żeby je nazajutrz zmienić. A papiery schowałem w biurko, w lewą szufladę...

— Czy drzwi były wówczas zamknięte?

— Do mojego pokoju?

— Tak.

— Przyznam się radcy — nie pamiętam.

— A rolety spuszczone?

— A! rolety były spuszczone! Jak tylko światło wноси służąca, to zaraz spuszcza...

— Czy nazajutrz sprawdzał pan, że papiery są w biurku?

— Nie. Byłem zajęty... późno trochę wróciłem z miasta...

— Kiedy pan spostrzegł ich brak?

— Dziś panie! dziś po południu! Coś mię piknęło — zaglądam — niem a! Zdębiałem, powiadam radcy!

- Zrobił pan awanturę w domu?
- Nie; byłem strasznie zgnębiony!
- Ale żona pańska wie?
- Jeszcze nie, panie radco — nie chciałem kobiety martwić...
- Bardzo dobrze pan zrobił. Więc nikt w domu nie wie?
- Nie mówiłem o tem przecie nikomu!
- A nie dał pan poznać po sobie? Nie pytał pan służącej naprzykład, czy kto nie wchodził do pańskiego pokoju?
- Nie.
- Wogóle nie pytał pan o nie w domu? nie szukał pan gdzieindziej?
- Po co? Przecie żyjący jestem i wiem, gdzie włożyłem.
- Więc przyszedł pan prosto tutaj? nie mówił pan co ze stróżem? nie radził się pan kogo? nie zwierzał komu ze znajomych?
- Nie, proszę pana. Pomyślałem i poszedłem do cyrkułu...
- Aha. Ale w domu, czy nikt nie mógł zmiarkować, że coś się stało przykrego?
- Nie. Żona biega za sprawunkami, bo ma wyjechać do siostry do Radomia na parę dni — a Kasia była w maglu.
- Aha. Żony pan nie wstrzymuj wypadkiem. Niech jedzie. I ani słówka nikomu! A w cyrkule z kim pan rozmawiał?
- Powiedziałem komisarzowi...
- On co panu powiedział?
- Powiedział, żebym zaraz szedł tutaj. I ja też to zrobiłem.
- No, dobrze. Teraz wróci pan do domu i będzie dobrej myśli. Nikomu ani słowa. Ale to ni-ko-mu! I trzeba być swobodnym, jak gdyby nic nie zaszło. Te pieniądze się znajdują, albo ja nie jestem Hektor Blau. Ale jedno niepotrzebne słowo, może wszystko zepsuć. Niech pan o tem pamięta. Jeszcze jedno: czy bywa kto u państwa w domu?

- Bywają dwie kuzynki żony...
- Często?
- Dwa, trzy razy na miesiąc...
- Kto one są?
- Jedna nazywa się...
- Nie o to pytam. Z czego żyją?
- Jednej mąż jest dyrektorem fabryki, a druga wdowa, ma kapitałik...
- Duży?
- Dwadzieścia sześć tysięcy.
- Bezdziętne?
- Wdowa bezdziętna. Jeszcze młoda kobieta i przystojna nawet...
- Lubi się bawić?
- O tak! nawet rzadko do nas wpadnie — ma konkurenta; bardzo dobra partya...
- A pani dyrektorowa — dużo ma dzieci?
- Dwoje...
- Mąż jej dużo zarabia?
- Z dziesięć tysięcy. To zamożni ludzie.
- Z mężczyzn nikt u państwa nie bywa?
- Paru moich znajomych... zwykle raz na miesiąc, na herbacie...
- Czy to ludzie, mający wystarczające środki?
- O tak! bardzo porządni ludzie! znam wszystkich od lat!
- W ostatnich czasach nic był u państwa nikt w dzień? z jaką wizytą?
- Nie; może która z kuzynek.

- Nie to — jakaś wizyta niezwykła — nie?
- Nie! nikt taki nie był...
- No — dobrze! Może pan, teraz odejść i proszę pamiętać o tem, co zaleciłem. Niech nikt nic nie wie i niczego się nie domyśla. Jak coś się dowiemy — już ja pana wezwę. O warunkach pan pamięta, — dziesięć procent...
- Ależ naturalnie, panie radco! Rozpisałem się przecie!
- Więc do widzenia z panem. Skomłowski wstał i począł się żegnać. Skoro wyszedł, Blau jeszcze chwilę robił sobie w notesie jakieś uwagi.
- Cóż ty mówisz na to, Hacharow? — spytał wreszcie naczelnika, zamykając notatnik.
- A cóż! gratka! Ty, Blau, dasz sobie z tem radę!
- Powiedział wyraźnie, że da jeszcze tysiąc — słyszałeś? Umyślnie się wtedy spojrzałem na ciebie.
- Jakżebym nie słyszał! On da! i jeszcze na koszty się go pociągnie w czasie śledztwa. Już ty to potrafisz!
- Raport trzeba zdać.
- Ale o tem co on daje... ?
- To już między nami!
- Ile ja dostanę?
- Zobaczymy — nie będziesz narzekał!
- No, ja wiem, Blau, że ty nie jesteś skąpy! A ja, widzisz, mam dzieci!
- Dobrze, dobrze! bądź spokojny!
- Co teraz robisz?
- Najpierw muszę się znieść z cyrkułem. Zadzwoń.
- Antoszenko jest? — spytał wchodzącego dyżurnego.
- Jest — czeka na pana komisarza.

— Dawaj go tutaj. A Wiejkin?

— Czekaj także. I proszę pana komisarza, jest tam także jeden pan z "Kuryera", co chciałby się widzieć z panem komisarzem.

— A? z "Kuryera?" Dobrze! przeproś go i powiedz, że zaraz będę służył — podać mu krzesło tam, grzecznie z nim! Wiejkin niech czeka — a Antoszenkę dawaj!

Za chwilę wszedł Antoszenko.

— Zdrastwujcie! No — co u was? — pytał go Blau.

— Domowładielca na Wspólnej okradli. My go tu odesłali.

— W porządku. Komisarz dał jakie polecenia?

— Nikak niet. Czekamy rozkazu.

— Dobrze. Wy jego znacie, Antoszenko, Skomłowskiego tego?

— Kanieczno. Onże z naszego uczastku. Porządny obywatel.

— Bogaty?.

— Kamienicę ma — czystą, dużą, trzypiętrową z oficynami — no i gotówkę miał.

— Na ile jego stać?

— Sto pięćdziesiąt z górą tysięcy ma.

— On nie notowany nigdy, w niczem?

— Niet. Parjadocznyj czełowiek.

— No — my będziemy jego pieniędzy szukać. On obiecał nagrodę. Wam obiecywał w cyrkule?

— On mówił, że dałby coś — my jego tu odesłali.

— Nie mówił ile?

— Nie — ale on może dać.

— Da, da. A ile, to my już porachujemy potem! Wy, Antoszenko, swobodny

teraz?

— K'waszemu razparżeniu.

— Dobrze. Wyjdziemy na miasto. Do waszego cyrkułu najpierw. Jest tam służanka Katarzyna Dyrdzińska — ja o niej potrzebuję swiedienja mieć. Ale to już Wiejkin. załatwi. On specjalista.

— Wiejkin tu jest.

— Wiem. Chodźmy. Do widzenia Hacharow!

Wyszli. W pokoju, który służył za rodzaj poczekalni, było paru policyjnych strażników i rewirowy. Na ławce, pod piecem, czekała, jakaś dama, strojnie ubrana, szeleszcząca jedwabiami, mocno wyróżowaną.

Pod oknem siedział młody mężczyzna, w angielskim paltocie, duńskich rękawiczkach, ze skórzanym pod pachą portfelem.

Blau rzucił się do niego. Strojna dama wstała.

— A! redaktora kochanego! — mówił agent, witając uprzejmie sądowego sprawozdawcę jednego z najpoczytniejszych dzienników warszawskich — przepraszam bardzo szanownego pana! byłem bardzo zajęty — musiałem panu chwilkę pozwolić czekać! ale jestem już na rozkazy — o cóż tam chodzi? sprawa tego zabójstwa na Tamce pewnie?

— Rzeczywiście, zgadł pan! — mówił dziennikarz — macie panowie już jakie dane?

— Trochę jest. Ale morderca nie chce się przyznać. Ja panu pokażę protokół, to pan sobie odpisze wszystko. Będę miał coś dla pana za parę dni!

— No, no? cóż takiego?

— Jeszcze nie mogę mówić.

— Ciekawa rzecz? Sensacya jaka?

— Pierwszorzędna!

— Zaciekawia mnie pan! Coś z bruku?

— Tak — duża kradzież.

— Może gdzie w banku?

- Nie! ale nie mogę nic mówić jeszcze. — A powie mnie pan pierwszemu?
- Naturalnie! Pan pierwszy tę sprawę poda!
- Słowo?
- Słowo, a jakże! Za to pan tam o mnie zrobi ładną wzmianeczkę — dobrze?
- Ależ z przyjemnością! Więc za parę dni dopiero?
- Tak; ja pana zawiadamie przez telefon!
- Doskonale! A ten protokółik o Tamce, kochany komisarzu?
- Natychmiast. Szeregin! zaprowadź pana redaktora do Tierernkowa i powiedz, żeby pokazał protokół śledztwa w sprawie zbrodni na Tamce. Pan redaktor wypisze sobie tam, co będzie uważał — rozumiesz?
- Słuszajus!
- Dziękuję bardzo kochanemu panu! Z panem, doprawdy, z przyjemnością załatwia się interes!
- Zawsze rad jestem panu usłużyć!
- Jeszcze raz dziękuję imieniem "Kuryera." Do widzenia zatem.
- Moje uszanowanie panu redaktorowi! Sprawozdawca wyszedł. Teraz podeszła wystrojona dama.
- Panie komisarzu — zaczęła — mnie tu przywlekli, niewiadomo po co! Czarna Julka zrobiła ze swoim alfonsiem awanturę, a mnie aresztują!
- Cicho! — rzekł Blau — idź pani na swoje miejsce! I zaczął po cichu mówić z rewirowym.

Po chwili skinął na damę, żeby doń podeszła ku oknu.

- Słuchaj-no! — rzekł, zniżając głos — tam u ciebie był skandal! Nic nie gadaj — tłumaczenia niema! Chcesz być wolną — dawaj setkę! Inaczej — każę cię zamknąć!
- Ależ, panie komisarzu, ja nie mam! Zresztą za co?! jakże tak...
- Tss! cicho bądź! żadnego gadania! Sto rubli — albo pod klucz!

— Ależ ja nic nie zrobi...

— To nic nie szkodzi. Rewirowy wie, żeś zrobiła. U Czarnej Julki była kłótnia przy kartach. Pożgali się nożami. Byłaś przy tem. Będziesz siedzieć do śledztwa!

— Ale ja przecie nic nie winna! Ja się poskarżę!

— Komu? Badać ciebie będziemy my! ja sani! nikogo innego nie będziesz tutaj widzieć! Możesz tu siedzieć i parę miesięcy nawet, razem z innemi, bo my teraz czem innym bardzo zajęci. Więc wybieraj — sto rubli, albo w ul! i śpiesz się nie mam czasu.

— Panie komisarzu! doprawdy, nie mam tyle nawet...

— Zastaw co!

— Jakże zastawię, kiedym aresztowana?

— To nic! Dam ci agenta — pojedziesz z nim, zastawisz, dasz mu pieniądze, to on cię puści. No?

— Ale już nie będzie mnie pan komisarz wzywał do śledztwa?

— - Bądź spokojną!

— No, ja wiem, że pan komisarz dotrzymuje słowa. Pojadę.

— Dobrze. Zaraz cię weźmie agent. Ale słuchaj — nie próbuj robić kawału, bo on gwiznie i wezmą cię na ulicy! Wtedy zapłacisz trzy razy tyle!

— Nie, nie! — dam!

— No, pamiętaj! Teraz wróć na swoje miejsce.

Blau z Antoszenką wyszedł. Za chwilę, do wyróżowanej damy, podszedł agent w cywilnem ubraniu.

— Jedziemy? — rzekł. Wstała i razem wyszli. Równocześnie wychodził z ratusza Blau w towarzystwie Wiejkin a i Antoszenki. Pogroził jej zdaleka i skierował się ku szeregowi dorożek.

VII

ROZKOSZNE DRESZCZE.

Hektor Blau wraz z dwoma swemi towarzyszami pojechał prosto do cyrkułu dzielnicy, w której zamieszkiwał Skomłowski. Kradzież, popełniona przez niewiadomego sprawcę w domu tego zacnego obywatela, wypadła agentowi bardzo na rękę. Nieprzywyuczajony liczyć się z pieniędzmi, przeciwnie, nawykłszy do łatwego ich nabywania i jeszcze łatwiejszej rozrzutności, bywał Blau, md czasu do czasu, nie powiem w kłopotach pieniężnych, ale w stanie pewnego, wyraźniejszego pożądanja monety. Był on przytem dobrym i hojnym dla swych podwładnych zwierzchnikiem. Dbał zawsze nietylko o to, by pomocnicy jego nie mieli na głowic kłopotów finansowych, co, jak mówił, pozbawiało ich sprężystości i energii, ale starał się często jeszcze, żeby mogli sobie uprzyjemnić obowiązki służby, przez użycie rozrywek, odpowiednich moralnym ich potrzebom. Dlatego często zapraszał swych towarzyszy i kolegów zawodowych na kolacyjki i śniadanka. Te pierwsze zwłaszcza, odbywają się zwykle w zakładach o ustalonej opinii, bywały nie tyle urozmaicone ile sympatyczne, skutkiem osiąganja pewnego swobodnego nastroju. Odrzucano wówczas przesady zdawkowej i szablonowej moralności, jak również wszelkie banalne względy na oszczędność, czas, porę i miejsce, lub takie zacofane pojęcie, jak historia dobrego, lub złego przykładu. Bawiono się bez skrupułów — naśladowano bogów Olimpu i umiano oddawać hołd pięknu. Wytworność i styl tych poufnych zebrań nie opierały się zresztą nigdy na takiej błaħostce, jak gust lub smak. Starano się o to, by źródła wrażeń były przedewszystkiem obfite, by zmysły i nerwy mogły się w nich kąpać do syta, nurkować nawet i tonąć na dnie, na postaniu miękkiego mułu...

Potrzebę takiej kąpieli odczuwał Hektor Blau dość często — za siebie i swoich towarzyszy. Właśnie dziś myślał o czemś podobnem i równocześnie przypominał sobie że w pugilaresie jego nie było już nawet śladu po zainkasowanych u przyjaciela Minczewskiego banknotach. Nadzieja takiego znaczniejszego obłowu, jak ten, który ukazał mu w postaci nagrody, za odnalezienie skradzionych pieniędzy, Skomłowski, przychodziła w samą porę. Na zapoczątkowanie pracy i zebranie myśli przez wywołanie odpowiedniego nastroju posłuży setka którą zapłaci wyróżzowaną dama dzisiaj — tylko to było mało! okropnie mało!

— Ha! poradzimy sobie jeszcze! mruknął Blau wsiadając w dorożkę.

Przez drogę do cyrkułu układał plany.

Te czterdzieści skradzionych Skomłowskiemu tysięcy naturalnie odnajdzie. To była dlań bagatela! Miał on tyle już doświadczenia w tych sprawach, że wyczuwał doskonale trudności odrazu i nie mylił się prawie nigdy. Tym razem myśl jego także chwyciła, już pewną nitkę i był niemal pewnym, że po niej z łatwością dojdzie do kłębka.

Kradzież owa nie była dlań wcale wielką aferą — ale widział doskonale i odrazu ocenił, jak wielkie z jej wykrycia mogą dlań wypłynąć korzyści.

Przedewszystkiem — znaczna suma pieniędzy; dalej — była to sprawa ważna, ze względu na wysokość skradzionej sumy; pomyślny rezultat śledztwa zwróci nań znowu uwagę wyższej władzy, podkreśli znów wyjątkowe zdolności, wzmocni stanowisko, dołączy nowy listek wawrzynu do niewiedzącego wieńca rozgłosnej już i tak sławy. Wreszcie — będą o tem pisać w gazetach, a Hektor Blau z przyjemnością czytał w nich zawsze wzmianki o chwalebnej swej i niestrudzonej, a gorliwej działalności.

Wszystko to były bezsprzecznie poważne zyski — ale Hektor Blau, w buchalteryi swych wrażeń, liczył je do rzędu materialnych. Dla jego głodnej psyche — nie było w tem wszystkim nic! żadnej nadziei rozkoszniejszego dreszczu, subtelniejszych wrażeń, zadowolenia wyrafmowańszych, moralnych jego potrzeb.

To go trochę korciło — podniecało nawet, zwłaszcza, że od dwóch dni nikogo osobiście nie badał, nikt się w jego oczach nie skręcał i nie wił.

Dojeżdżali do cyrkułu i dorożka się zatrzymała.

W cyrkule komisarz oczekiwał przybycia Blau'a i wnet rozpoczęła się rozmowa.

— Słuchaj Dymitryj Władymirowicz! mówił Blau — odesłałeś do mnie Skomłowskiego i porządnie zrobiłeś. A on tu nic nie zostawił?

— Tutaj? nic — a czy miał co zostawić? — Mógł być zostawić coś na koszt — na pierwsze wydatki.

— Ja bez was nie śmiałem mu mówić — myślałem, że wy tam sami zrobicie.

— To swoją drogą. U nas wydział śledczy, a tu cyrkuł. Można było pociągnąć.

— Ja nie znał!

— Ty Dymitryj trochę za mało kombinujesz. No — twoja szkoda!

— Winowat!

— Nu, niczewo! Teraz ja tobie dam robotę.

— Słucham.

— U tego Skomłowskiego jest służanka, Katarzyna Dyrdzińska. Mnie potrzeba wiedzieć, kto jest jej kochankiem. Tam ten stary prawdopodobnie też się z nią zna bliżej, ale prócz tego ona ma kochanka. Trzeba go znaleźć. Znaleźć i wziąć. Ale on nie może wiedzieć, że to chodzi o Skomłowskiego pieniądze. Ona też nie może nic wiedzieć. Nie powinni się nawet domyślać, że my o tem coś wiemy, że ten stary chodził do nas ze skargą. Rozumiesz?

— Da. Ich trzeba o co innego wziąć.

— Jakto.. "ich"? Co ty? ja tobie tylko o nim mówię! jej nie brać — ona sama przyjdzie! Jak ty to zrobisz?

— Nu, są różne sposoby... można o paszport pozwać'...

— Głupstwo! o paszport! i co mu zrobisz? paszport pewnie ma i choć się przyczepisz, niema o co przycisnąć! Głupstwo!

— Kak chatitie! można inaczej — paprobujem...

— Niema co próbować, trzeba od razu mieć sposób! Zrobić tak: najpierw dowiedzieć się, kto on taki i gdzie go można znaleźć. Ale zręcznie! żeby nie powąchał — poruty żadnej! taki musi gdzieś bywać stale — trzeba tam iść i awanturę z nim ustroić, a potem nakryć! Dobrze byłoby włożyć mu coś w kieszeń, albo można go będzie tak grzecznie spytać o różne rzeczy; choćby o to, czy nie bywa na Tamce — tam teraz była ta zbrodnia — pretekst jest dobry do grzecznej i delikatnej rozmowy. Potem ona przyleci do niego sama. Trzeba mu ułatwić porozumienie z nią. Ja z nim rozmawiać będę sam. A potem — zastanę ją niby przypadkiem, no i z nią pogadam też! Rozumiesz?

— Da, panimaju!

— Więc zrobić to wszystko. Zacząć zaraz, czasu nie tracić. Jego powinniśmy mieć jutro — ją pojutrze. No i o starym i o domu, o wszystkim, co się jego tyczy sprawki robić — pilnie i ostrożnie. Żeby o tej całej sprawie było zupełnie cichutko. On ma nakazane milczeć, jak ryba.

— Nie bezpokojcieś! będzie cicho!

— Dobrze. Co zresztą u was? Niema nic?

— At! ważnego niema nic! Jest jeden o kradzież w restoranie... z dziewczką

razem obokrali jakiegoś handlarza.

— Dużo?

— On mówi rubli kilkadziesiąt — no pry objiskie niczewo nie naszli u nich.

— A on zeznał?

— Niet! powiada, że nie wziął.

— To zamieczennyj?

— Konieczno. Alfons posljedniawo razrjada.

— Dajcie go do mnie!

— Haraszos. Ja i tak zawtra utrom by wam go ataszał w sysknoje atdielenje.

— Ja z nim tutaj pomówię trochę!

— Tu?

— Można w areszcie. On sam?

— Sam.

— Tak pajdiom!

Wstali. Oczy Hektora Blau'a iskrzyły się. Na bladą twarz wypłynął lekki rumieniec, a nozdrza poczynęły się rozdymać. Wyszli na korytarz, gdzie był cyrkułowy areszt.

Odemknięto ciemną celę. W głębi, pod niewielkim zakratowaniem i wysoko umieszczonym okienkiem, siedział na drewnianych narach młody jeszcze człowiek, ubrany w ciemny, marynarkowy garnitur w miękkim kapeluszu na głowie. Nad podniesionym kołnierzem kurtki rysowała się w półświecie twarz cyniczna i zuchwała, nosząca wyraźne piętno częstego użycia alkoholu i ekscesów zmysłowych.

Spojrzał ku wchodzącym i nie ruszył się nawet.

Ale za barczystą postacią komisarza, z poza pleców Wiejkina i Antoszenki, dostrzegł nagle fosforycznie błyszczące, choć przymrużone, źrenice Hektora Blau'a i drgnął cały. Przez twarz przemknął mu wyraz nagłego niepokoju i bezsilnej wściekłości.

Agent wysunął się z poza swych towarzyszy i szedł ku swej ofierze z obleśnym na ustach uśmiechem.

— Ooo! jak się masz Stefan ku! — zaczął dźwięcznym, słodziutko modulowanym, głosem — cóż to się znów stało? Skoro tylko się dowiedziałem, że masz jakieś nieporozumienie z panem komisarzem, przyszedłem cię odwiedzić. Ja zawsze o znajomych pamiętam. Może coś poradzimy na. to. Ogromnie lubię pomagać znajomym! Cóż? nie przywitasz się ze mną, panie Budzik?

Budzik z wolna wstał i oparł się o ścianę, starając się twarzy swej nadać obojętny wyraz.

— No? i o cóż to poszło? Powiedz-że mi, Stefanku, pocóż ciebie tu znowu wzięli?

Budzik błysnął w stronę komisarza i stojącego przy drzwiach strażnika spojrzeniem pełnym głuchej, nieopisanej wściekłości.

— Choroba ich wie, czego chcą ode mnie — mruknął.

— Nie gniewaj się, mój drogi! — mówił Blau — żółć sobie możesz poruszyć niepotrzebnie. Pan komisarz powiada, że twoja dziewczyna komuś tam, przez żart, wyjęła kilkadziesiąt rubli. Trzeba teraz żart skończyć i oddać te pieniądze. Tamten, widzisz, bardzo się martwi. Podobno handlarz był jakiś, co?

Budzik chmurny stał pod ścianą i wbił tępe spojrzenie w deski podłogi.

— Nawet nie wiem, jak się nazywa teraz twoja dziewczyna. Bo pewnie masz teraz inną, prawda? Tamta dawna, Ruda Wikta, jeszcze odsiaduje; zdaie się ma jeszcze półtora roku, czy coś takiego? prawda?

— Prawie dwa lata całe jeszcze...

— A widzisz, tak, dwa lata!...

— Pan komisarz tak dobrze jej pomógł przed sądem! — burknął Budzik z tłumioną nienawiścią — o marne trzydzieści sześć papierków!

— Trudno, mój drogi! Sąd musiał kogoś skazać! Gdyby nie ona poszła — poszedł byś był ty. A tak, wykpiłeś się miesiącem. I o marne trzydzieści sześć rubli, jak powiadasz. A teraz znowu coś podobnego — chodzi także przecie o kilkadziesiąt rubli tylko. Więc ja radzę tobie, Stefan — ty jej każ te pieniądze oddać!

— Ja nic nie wiem o żadnych pieniądzech!

— No — tak się mówi. Ale lepiej po dobroci. Zawsze lepiej. No?

Budzik milczał uparcie. Blau, trzymając ręce założone z tyłu na lasce, dał towarzyszący swym, do których był obrócony plecami, krótki, niemy znak ruchem palców.

— Nie chcesz mówić! — westchnął. — Źle robisz, gałubczyk! Pan komisarz ciebie będzie musiał odesłać do ratusza — tam nie umiejmy delikatnie rozmawiać. Ale ja wiem, że ty mądry, ty powiesz sam, co z temi pieniędzmi. Ja ciebie o to proszę — widzisz, nie mam czasu, a pan komisarz powiada, że musi cię zaraz odesłać do sysknawo atdielenja.

— Da, kanieczno! — rzekł z tyłu komisarz — ty gawari siejczas — a nie, to atwiedut tiebia!

Blau odwrócił się i począł mówić coś z Wiejkinom. Budzik wciąż milczał. Na skroniach wystąpiła Blau'owi siatka żyłek, oczy skrzyły się coraz bardziej. Mrugnął porozumiewająco na komisarza. Ten zwrócił się do Antoszenki, swego pomocnika.

— Dawajcie kanwoj! — rzekł.

Antoszenko wyszedł na korytarz i zaraz wrócił. Za nim weszło dwóch barczystych strażników, jeden z nich trzymał w ręku małe kajdanki do obezwładnienia rąk. Blau spojrzał na zegarek.

Późno już! — rzekł z westchnieniem — no, Stefanku, masz minutę czasu do namysłu. Pan komisarz nie chce dłużej z tobą marudzić. Radzę ci, mów!

W celi zapanowało milczenie. Agent czekał, licząc w myśli sekundy. Brwi jego drgały nerwowo. Minuta wlokła się długo. Budzik zacisnął usta, jakby bojąc się uleść pokusie. Nie przypuszczał jednak, że indagacja na inny sposób rozpocznie się zaraz. Myślał, że istotnie odsyłają go już do ratusza, i że tam będzie jeszcze miał czas się namyślać.

Ale Blau doliczył nareszcie sześćdziesiątej sekundy, drżąc w duchu, by ofiara nie zaczęła zeznawać. Popsułoby mu to zabawę, której pragnął z rosnącą, dziką namiętnością. Znał Budzika i liczył na jego zacięty upór. Nie zawiódł się i spojrzał na komisarza.

Ten skinął na strażników. Podeszli i jeden z nich zaczął zakładać więźniowi na ręce kajdanki. Agent i jego towarzysze cofnęli się ku drzwiom.

— Nu, idi! — rzekł strażnik do więźnia.

Ten odsunął się od ściany i postąpił naprzód. Ale ledwie uczynił krok, uczuł się znienacka pochwycony z tyłu za bary przez drugiego strażnika i rzucony na tapczan..

.....
.....

Na czoło Blau'a wystąpiły sinemi pręgi wezbrane żyły — patrzył, przechylając się to naprzód, to w tył, jakby łaskotany do szafu — oczy zachodziły mu falą rozkosznej, ciężkiej, gorącej mgły.

.....
.....

W pół godziny potem z cyrkułu wychodził Blau ze swymi towarzyszami. Wesoły był, uśmiechnięty i rzeźki, jak po elektrycznej kąpieli.

— Te osiemdziesiąt rubli, które oddał wreszcie Stefanek — mówił do Antoszenki — jak z nieba spadły! Trochę nam wprawdzie marudził — ale to nie szkodzi. Teraz mamy razem blisko dwieście, możemy jakoś wieczór przepędzić! Wstąpimy tylko jeszcze na Twardą ulicę na moment.

VIII

INTERES PO DRODZE.

Wsiedli znowu w dorożkę, kierując się [w stronę ulicy Twardej.

Blau milczał, uśmiechając się od czasu do czasu. Nareszcie zatrzymał wehikuł przed jednym z dużych, czteropiętrowych domów.

Gdy weszli w długą, ciemną sień, Blau zwrócił się do Wiej kina ze słowami:

— Ty zostaniesz tutaj. Mam trochę roboty na górze, ale Antoszenko wystarczy. Poczekaj na nas.

To mówiąc podążył wraz z Antoszenką na drugie piętro wielkiej, poprzecznej oficyny, łączącej ciemnym, wysokim murem, dwa skrzydła olbrzymiej kamienicy.

Stanąwszy przed drzwiami, Blau zadzwonił. Na metalowej tabliczce, przybitej na tych drzwiach, był napis: Aron Majteles.

Wewnątrz głos dzwonka wywołał jakiś ruch. Słysząc było pośpieszne człapanie pantofli, aż jakiś piskliwy głos zapytał: kto tam?

— Proszę otworzyć! — zawołał Blau suchym, urzędowym tonem — z rozporządzenia władzy!

Za drzwiami wszczął się rwetes. Ktoś drugi, starszy, podszedł z zapytaniem: kto tam? Ale Blau szarpnął drzwiami.

— Atwaritie! — krzyknął — siej minutu! Szczęknął teraz łańcuszek i zgrzytnął trygiel. Otwarto. Blau wszedł z Antoszenką. W ciemnym przedpokoju stał stary żyd z długą siwą brodą i parę jeszcze osobników obojga płci, patrzących wylękłym, przerażonym wzrokiem na przybyszów.

— Aron Majteles w domu? — zapytał szorstko Blau, udając, że nie dostrzega stojącego w głębi żyda.

— Ah! pan komisarz Blau... — rzekł tenże, sztucznie uprzejmym tonem — padam do nóg panu komisarzowi... ja jestem w domu... co to sze stało takiego, co pan komisarz sze do mnie fatyguje?

— Zaraz pogadamy! — rzekł Blau, wchodząc z Antoszenką do pokoju,

zapraszany niskimi ukłonami żyda. Ubierz no się pan — i weź sobie coś do zjedzenia... zaraz musimy iść!

— Co? jak pan komisarz mówi?!

— Śpiesz się pan! niema czasu!

— Z czym ja się mam śpieszyć? co to jest?! panie komisarzu!

— Mówię panu, ubieraj się i weź sobie trochę bielizny i coś do zjedzenia — pójdziesz pan z nami!

— Gdzie ja mam iść?! — krzyknął żyd, cofając się — co to jest?! czego panowie chcecie ode mnie?!

— No, nie rób pan historyi!

— Panie komisarzu — ja nic nie rozumiem! czego pan chce?!

— Chcę, żebyś pan z nami szedł!

— Gdzie?., po co?., na co ja z panem mam iść?!

— No, to już tam panu jutro powiedzą!

— Kto mnie powie? gdzie ja mam iść? Ja teraz nie mam żaden interes wyjść z domu!

— Trudno. Musisz pan jednak!

— Ale po co? co to jest?! co pan chce?! Aj waj mir!

— Nie drzyj się pan! — krzyknął ostro Blau. — Musisz pan z nami pójść do cyrkułu.

— Po co ja mam iść do cyrkułu? Ja tam nie mam żaden interes! — mówił żyd, trzęsąc się.

— To już pan wiesz najlepiej.

— Co ja mam wiedzieć? ja nic nie wiem! co to jest?! żebym ja się z tego miejsca nie ruszył — mówił, przestępując szybko obok,

Majteles --- jeżeli ja wiem, czego panowie chcecie! Ja w cyrkule nic nie mam do roboty!

- Hm! są jednak skargi na pana!
- Co to jest? Skargi? Co znaczy skargi?
- Skargi o to, że pan ludzi obdzierasz — zajmujesz się pan znów lichwą!
- Was heist lichwo? Jakie lichwę? Panie komisarzu! ja pana bardzo proszę, niech pan nie straszy mnie biednego!
- Ani myślę pana straszyć! Zresztą pójdziesz pan z nami, to się przekonasz!
- Panie komisarzu! Ja wcale nie mogę iść! ja zupełnie nie mogę!
- Eh! cóż znowu? chyba pan nie chcesz, żebym posłał po strażników, aby oni panu pomogli?
- Panie komisarzu! ja jestem cały chory!
- Cóż pan tak nagle zachorował? dopiero co pan był zupełnie zdrów! Zbieraj się pan!
- Wielmożny panie komisarzu! mnie doktor zabronił... oj! jak mnie coś pika!
- Pana zaraz inaczej piknie, jeżeli pan nie pójdzie!
- Ja mam straszny feler na wątrobę! ja ledwie stoję! Wielmożny panie komisarzu — niech mnie pan ratuje!
- A cóż ja panu mogę pomóc? Bałamucisz pan niepotrzebnie!
- Niech panowie trochę siędną! Oj, oj! ja sobie cały trzęsę — ja upadnę...
- Możesz pan trochę odpocząć — rzekł Blau — to wszystko, co mogę zrobić!
- Mogę? niech panowie sobie siędną... oj, panie komisarzu! co pan ze mną wyrabia!
- Ja? a cóż ja! rozkaz jest — skargi na pana są — muszę pana aresztować!
- Mnie aresto... ! Panie komisarzu! nie powiedz pan takie brzydkie słowo!
- Mogę nie mówić — ale zrobić trzeba.
- Bez co pan komisarz tak sze na mnie zawzion? co ja panu złego zrobiłem? aj, waj mir!

— Nie jęcz pan, bo to na nic się nic zda.

— Jak ja nie mam jęczeć? co ja mam robić? Ja nieszczęśliwy!

— No, co za nieszczęście? Posiedysz pan sobie trochę — od tego nikt jeszcze nie umarł!

— Ja sobie posiedzę! ładny interes! Poco ja mam sobie siedzieć? Ja wcale na to nie mam czasu!

W drzwiach stojące dwie kobiety i wyrostek zaczęli głośno rozpaczać. Kilkoro brudnych dzieci przyłączyło się dyszkantem do tego akompaniamentu. Blau obejrzał się niecierpliwie.

— Uspokój pan ten pisk! — rzekł ostro — i zbieraj się pan! nie mogę tracić tyle czasu!

— Aj joj, joj! — zajęczał Majteles.

Wtem z bocznych drzwi wyszedł pośpiesznie niski, rudy, młody żydek, zapinając wdziany widać naprędce chałat.

— Moje uszanowanie wielmożnemu panu naczelnikowi! — rzekł szybko, kłaniając się nisko. — Stil, tate! gajt weg! — zawołał do płaczących w drzwiach kobiet i dzieci.

— Jak się masz, lcek! — rzekł z uśmiechem Blau — dobrze, że jesteś tutaj! Twój teść nie może zrozumieć, czego chcemy od niego.

— Ja mu to zaraz wytłomaczę — zawołał rudy prędko — niech panowie chwileczkę będą łaskawe poczekać. Grajt weg! — krzyknął rozkazująco ku drzwiom i rzuciwszy się ku nim począł wypychać rozslochanych członków rodziny, poczem drzwi zamknął.

— Na twojego teścia wpłynęły w tych czasach trzy skargi o lichwę — rzekł Blau — z początku naczelnik wydziału machnął ręką — ale wczoraj znów przyszła jedna, no i sprzykrzyło mu się.

Rudy patrzył w oczy Blau'owi, słuchając pilnie.

Ten ciągnął dalej.

— Skarży się Boxtkiewicz, on jest urzędnikiem — może iść dalej — ma stosunki — więc naczelnik tego nie może tak zostawić... prosiłem go, ale... nie chciał.

Rudy przysiadł na brzegu krzeselka, przysuwając się ku stołowi.

— Pan komisarz jest dobry człowiek — zaczął cichym głosem — my wiemy! niech pan komisarz nas poratuje... jak pan komisarz zechce, wszystko będzie znów git...

— Hm! To zależy od naczelnika... ja nie wiem, czy on zechce...

— Jak pan komisarz jemu powie, tak będzie! niech pan komisarz powie słowo — ile potrzeba?

— Najmniej... trzysta. Ale ja nie ręczę, czy naczelnik się zgodzi.

— Byle tylko pan komisarz się zgodził. Czy to trza zaraz?

— No, myślę!

— Tate! — trącił rudy Majtelesa — hört nur! Griebt drahundert kierbeł, giebt!

Stary chwycił się za głowę.

— Drahundert!! oj waj! oj waj! — zajęczał.

— Nu, wus ist ci szrajen! — zagadał szybko rudy. — Griebt ir niszt, zo gajt in areśt! Wird a sprawę! kryminał!

— Hab niszt ci hauze! aj joj, joj! zo a śtik geld! drahundert kierbeł!

— Giebt, giebt! sis kane Cait ci lamentiren! Zunst kimmen di stražnikies und ir gajt in areśt!

Stary wstał jęcząc i wolno wyszedł do drugiego pokoju.

Rudy nachylił się do Blau'a.

— Un zaraz przyniesie — rzekł — co ja dostanę od wielmożnego pana komisarza?

Blau uśmiechnął się.

— Jak zwykle. Pięćdziesiąt rubli.

— Panie komisarzu — to mój teszcz! Ja mam chore żonę teraz — niech pan komisarz dołoży jeszcze dwadzieścia pięć!

— Nie mogę. Potrzebuję dziś pieniędzy.

— Pan komisarz nie pożałuje! Przez tego, że to mój teszcz przecie! Ja dam na

przyszły tydzień fajnie geszeft! zarobi sze, panie komisarzu!

— No dobrze! Pał cię sześć! tylko niechno się stary śpieszy!

— Zaraz!

Rudy wstał i wyszedł za teściem. Wkrótce wrócili obaj.

Stary, w trzęsących się rękach, niósł paczkę banknotów i rulonik złota. Położył na stole pieniądze i zaczął liczyć. Wyliczył dwieście osiemdziesiąt sześć rubli.

— Nie mam w domu więcej! — rzekł, rozkładając ręce.

— To się zbieraj, stary oszuście! — zawołał Blau, wstając. — Cóż to, kpiny ze mnie stroisz!!

— Tss! oj joj! — syknął rudy — wus macht ir, tate! ir wołt gajn in kryminał!!

— Zbieraj się, dr.... jakiś! — ofuknął Blau szorstko.

Stary skurczył się.

— Panie komisarzu! — zaczął — ja później dodam!

— Niema żadnych "później!"

— Ja przyniosę od szwagra! — zawołał rudy — niech pan komisarz chwileczkę tyłka poczeka! Ja zaraz wrócę!

Wybiegł. Zapanowało milczenie. Blau wyjął papierośnicę, zapalił papierosa i poczęstował Antoszenkę. Majteles stał, nie śmiejąc się odezwać. Wreszcie skrzypnęły drzwi. Budy wrócił, niosąc czternaście rubli, które położył na stole.

Blau zgarnął pieniądze do kieszeni i wstał.

— Ja poproszę naczelnika — rzekł do starego — żeby jeszcze na ten raz dał panu pokój! Ale pan się pilnuj, panie Majteles! Z panem może być bardzo krucho! A pańska wątroba nie wytrzyma Pawiaka! No blajbt gesind!

Wyszedł z Antoszenką odprowadzony do wyjścia przez rudego. Przy drzwiach podał mu nieznacznie parę banknotów.

— Aj! dus is a ganeffff!!... — jęknął Majteles, ciężko opadając na krzesło, skoro tylko drzwi się za miłemi gośćmi zamknęły.

IX

ORGIA.

Hektor Blau skierował się już teraz prosto na Nowy Świat. Szedł wesoło i lekko, rozmawiając swobodnie z Antoszenką i Wiejkinem.

Była godzina dopiero dziewiąta. Na Nowym Świecie cała trójka zatrzymała się przed eleganckim fryzjerskim zakładem.

— Chodźmy się trochę odświeżyć! — rzekł Blau. — Od trzech godzin oddycham atmosferą, której wspomnienie w postaci jakiegoś swędu zostaje mi w ubraniu, włosach — otacza twarz... to nieprzyjemne. Nerwy się rozstrajają — tu nas trochę oczyszczą, przewietrzą dobrymi perfumami! Przecież mamy dziś bawić damy, moi panowie!

Weszli. Blau kazał sobie zwilżyć i wytrzeć twarz wodą kolońską, przyczesać się, umył ręce i zażądawszy flakonu silnych, wytwornych perfum, skropił niemi ubranie swoje i towarzyszy.

Od fryzjera udali się do Aleksandryny.

Przedstawienie zaledwie się rozpoczynało. Właściciel teatrzyku, elegancki, niski brunet, powitał ich uprzejmie. Byli to goście, których należało szanować... na wszelki wypadek. Przytem Hektor Blau znany był w tego rodzaju zakładach z wyjątkowej hojności...

Otwarto im dużą lożę wprost sceny, opatrzoną gęstymi zasłonami. Na sali było jeszcze pusto. Blau zażądał wódki i zakąsek. W miarę, jak na estradzie przesuwwały się kolejno pierwsze numery programu, agent i jego towarzysze zaspakajali pierwszy głód, ostrząc apetyt do właściwej kolacyi częstymi libacyami monopolki. Przytem przypatrywali się.

Blau'owi nozdrza poczynały znów grać. Chwytał w nie mdłe zapachy perfum i pudru, unoszące się w całej sali z mniej lub więcej osłoniętych a licznych ciał kobiecych, zmieszane z dymem i ostremi woniami potraw i napojów.

Na estradę wystąpiła znana dobrze w tym tingel-tanglu M-Ile Dusina, zwana "internacyjonalną subretką" i nucąc oklepane a pieprzne kuplety, robiła do pierwszych rzędów oko, pokazując śmiało zgrabne nogi i biały, pełny, lecz mocno przypominający galaretę kremową, biust,

Drastyczne słowa kupletu, akcentowane dobitnie rytmicznym ruchem tych

okrągłości, pełna linia wyrzucanej z dezinwolturą w górę łydki, wreszcie ondulacja wydatnych bioder i spojrzenie błyszczących, dobrze atropiną zaprawnych i podkreślonych oczu, poczęło wprawiać widzów w rozkoszny nastrój.

Brawa bito ochoczo, a w loży naszej trójki na górze odkorkowywał kelner drugą butelkę czystej, jak łąza monopolki.

Blau'owi płonęły oczy i policzki. Kazał zatrzymać gabinet na dole i wydał kelnerowi jakieś dyspozycje.

M-Ile Dusi na, zabisowawszy swój numer, znikła wreszcie za kulisami, a miejsce jej zajęły dwie hiszpanki, tańczące w narodowym stroju bolero.

Blau poczynął się niecierpliwić. Nie mógł doczekać końca tego występu i skoro tylko zapuszczono kotarę, zeszedł do gabinetu na dół.

Tu stół był już zastawiony. Wnet otwarty się drzwi i weszła M-Ile Dusina, a za nią jeszcze dwie szansonistki.

Powitanie było zarówno serdeczne, jak bezceremonialne.

Blau posadził Dusinę na swoich kolanach i rozpoczęła się uczta.

Pito już teraz koniak, a przy pierwszym gorącym daniu Blau zawołał o szampańskie.

Po paru szklankach perlistego, musującego wina temperatura nastroju znacznie podniosła się w górę.

Jedna z szansonistek usiadła również na kolanach czerwonego, jak burak Antoszenki, druga tuliła się do boku Wiejkina, przerzuciwszy mu swe krągłe i wysmarowane Simon-Creamem ramię przez jego bawoli kark.

Blau wypytywał się Dusiny o wrażenia, jakie przechodziła w chwili utraty swego dziewictwa. Słuchał pilnie, łowiąc każde słowo z lubością, a "internacyonama subretka," spostrzegłszy to zajęcie, improwizowała różne egzaltowane kawały, jako że moment, o którym była mowa, był już dosyć odległym i wspomnienie jego roztopiło się dawno w fali wrażeń, co nocy nań spadających ciepłą i cikliwą kaskadą. Ale Blau słuchał, wpatrzony w nią pilnie, popijając szampana spalonemi usty, a ręka jego, obejmująca talję Dusiny, szarpała niecierpliwie haftki stanika, zagłębiała się skwapliwie pod szeleszczące i ślizkie materye...

Rozpoczęła się stylizowana przez agenta orgia.

Zmysły opanowały sytuację zupełnie.

Hektor Blau, podniecony do szału, darł na kobietach suknie, obnażając ich piersi, plecy, ramiona.

Pito wciąż. Szamotano się — rzucono sobie cyniczne, "uwolnione z wszelkich ogrótek, słowa, — rozgniatano sobie wzajemnie wargi w dzikich pocałunkach, w których zęby oślizgiwały się po gładkiej, drażniącej skórze kobiecej...

Na dworze wstawał bladawy, niewyspany dzień.

Było już widno, kiedy parokonne gумы uwiozły Dusinę wraz z Blau'em w kierunku rogatek.

W gabinecie Aleksandryny służba zbierała po podłodze złote pięćorublówki, których garść rzucił im jako "pour-boire" wychodząc po rachunku agent.

GWIAZDA BLEDNIE.

Interesa Hektora Blau'a poczęły się nieco wikłać.

W notatniku jego widać tego wyraźne ! ślady. Pod datą 26 marca 1902 r. jest taki ' np. ustęp:

"Skomłowski. Posłać mu ostateczne warunki. Być u Mincz., wycisnąć tam, ile się da. Trzy tysiące mogłyby zatuszować całą tę aferę. Dla mnie nie zostanie nic. Ale bierz dyabli. Poradzę sobie jeszcze inaczej. Nic się nie dzieje, jak na złość. Czyby moi ludzie zapomnieli już tropić? Bydło! A jeżeli Mincz. odmówi? W ostatnich czasach podebrałem go dobrze. Głupstwo! musi dać! A jeżeli nie? Cest à crever! Ha! tem gorzej dla niego! Nie będę go już dalej oszczędzał. Zresztą to już niepodobna. Zaczynają patrzeć na niego inni. Zadużo oczu. I on już nic nie wart. Okół. mówi, że on resztkami goni. Ale taka bestya nie padnie, nie próbując się ratować. Znam go. On zaryzykuje szalenie i wpadnie. To mi nawet pomódz może. Ja na nim położę ręką. Nikt inny. On jest wyłącznie mój. To zrównoważy trochę sprawę ze Skomł. A to łajdak! No — między nami jeszcze rachunek. Wszystko jedno, kto teraz będzie górą. Ja poczekam na ostatnie słowo. I powiem je takie, aż jemu kiszki się skręca! Teraz będziemy próbować układów. I Mincz. pilnować. On musi wpaść. Może jednak przedtem jeszcze coś wyduszę. Byłoby dobrze, bo się rwie."

Istotnie, poczynano się rwać.

Sprawa kradzieży owych czterdziestu tysięcy Skomłowskiego była cieniem złowrogim na świetnej dotąd i pełnej blasku gwieździe karyery Hektora Blau'a.

Wykazała ona bezsprzecznie jego bajeczny spryt i zdumiewające orientacyjne zdolności, ale wypadła właśnie w porze, kiedy napięte do ostateczności nerwy agenta przestały liczyć się ze wszelkimi względami.

Hektor Blau upoił się powodzeniem, a z drugiej strony folgował swym namiętnościami w sposób przechodzący wszelkie granice, wytrącający z równowagi wrodzony jego zmysł ostrożności.

Pracował on pod ten czas tylko w jednym kierunku — śledczym. Był tak pewnym siebie i siły swego stanowiska, że w końcu potknął się na człowieku tak przeciętnym i nieznacznym, jak właśnie Skomłowski.

Hektor Blau sprytem swym, niezawodzącym go nigdy, graniczącym wprost z jasnowidzeniem, trafnie odgadł, iż złodziejem, który Skomłowskiego okradł, była własna jego służąca, do współki ze swym kochankiem.

Na godnej tej parze nie położył agent swej ręki — to jest, mając ich w garści, nie oddał tej pary w ręce sprawiedliwości, lecz owszem, garść swą mocną otworzył.

Na postanowienie to jego różne wpłynęły powody.

Przedewszystkiem Blau, wydobywając z Dyrdzińskiej i jej kochanka szczegółowe zeznanie i zmuszając swemi ulubionemi sposobami złodziei do zwrotu skradzionych pieniędzy, wyczerpał z tej operacji wszystkie już te wrażenia, na których jego moralnej, wewnętrznej stronie zależało w takich razach tak bardzo. Gdyby ich oddał sprawiedliwości, wytoczonoby im proces i skazano na pewną liczbę lat więzienia, co wcale nie było zajmujące, ani żadnych już dać nie mogło emocyi.

Całą skradzioną sumę miał w ręku. Złodzieje nadto okupili swą wolność osobnym haraczem i stanowili w dalszym ciągu ciekawy i pożyteczny materiał, którego jeszcze Blau nie chciał niszczyć. Pragnął on zresztą całą sprawę, którą rozmazały trochę za głośno gazety, skończyć jednym tryumfalnym pociągnięciem. Postanowił więc, że służąca miała podłożyć pieniądze pomiędzy bieliznę w komodzie w domu Skomłowskiego, a on je miał przy rewizyi odnaleźć. Tak się też stało.

Ułatwiwszy się w krótkim stosunkowo czasie z czułą parą i sprawdzwszy, iż ukradzionej sumy zgoła kochankowie nie naruszyli, naznaczył dokładnie porę podłożenia pieniędzy, sam zaś uprzedził Skomłowskiego o konieczności odbycia w jego domu dokładnej rewizyi.

Skomłowski trochę się zląkł rozgłosu, ale zapewniony przez Blau'a, iż sprawa będzie przeprowadzona dyskretnie, oczekiwał zejścia komisji rewizyjnej w swem mieszkaniu.

Blau rozpoczął od rzeczy służącej, która, otrzymawszy poprzednio wyraźną lekcję, zaczęła się mocno oburzać.

Skomłowski zdawał się być tem zakłopotany.

— Panie komisarzu — zaczął — ja jej wcale nie podejrzewam... to dobra dziewczyna... bardzo nawet przywiązana do mn... do nas!

— Wszystko jedno, łaskawy panie — tłumaczył spokojnie agent — może ona być przywiązana do pana, czy tam do państwa i przez przywiązanie mogła

pragnąć z tej służby pamiętki!

— Ale gdzieżby! niepodobna, panie... a ja, widzi pan komisarz, boję się, że gębę rozpuści! Pierwsza żona się zaraz dowie, skoro tylko wróci!

— Bądź pan spokojny! Przecież ona nie wie, czego szukamy — nikt się jej o pieniądze nie pytał i nie spytał. Chyba, żeby się u niej znalazły — to już trudno!

Szukano dalej, oczywiście bez rezultatu.

Po dokładnym przetrząśnięciu kuchni, rzeczy Dyrdzińskiej, po przeszukaniu podręcznej spiżarki i jeszcze innych ubikacji, Blau wszedł do pokoju stołowego namarszczony mocno.

— Jestem prawie pewny jednak, że nikt tych pieniędzy nic wziął, tylko ona! — rzekł wolno. — I dziwna rzecz! zachowanie jej jest bardzo śmiałe! Czuje się zupełnie pewną — coś w tym jest!

— Ależ, panie komisarzu! upewniani pana, że pańskie domysły są na błędnej drodze! — mówił Skomłowski.

— Dlaczego pan tak za nią obstaje? — spytał go nagle Blau.

Kamienicznik, zaskoczony tem pytaniem zniecierliwiony, począł się plątać.

— Nie, nie! — ciągnął agent — mnie się nie zdaje nic! ja zawsze na wszystko mam oczy otwarte — i właśnie widzę, że pan jej broni — chce ją pan osłonić! To trochę dziwne, zważywszy, że ta sympatya może pana kosztować czterdzieści tysięcy rubli!

— Zdaje się panu z pewnością, komisarzu kochany! Cóżto znowu — skądże — ja doprawdy nie wiem...

— Mniejsza o to! to pańskie prywatne sprawy, które tylko pańską żonę mogą obchodzić, ale ja...

— Panie komisarzu! na miłość boską! jeszcze kto usłyszy z domowników! pójdą zaraz po całej kamienicy bajki! — błagał wystraszony wspomnieniem żony Skomłowski.

— Mniejsza więc o to, powiadam. Ale ja szukać muszę. Zobowiązałem się znaleźć i o nagrodę mi chodzi. Zresztą — to moja ambicja!

— Gdzież tu jeszcze szukać?

— A właśnie — gdzie? I wie pan — coś mi do głowy przychodzi! Bo dlaczego

ona taka jest pewna siebie? Musimy przeszukać całe mieszkanie!

— Jakto? moje mieszkanie? cóż pan podejrzewa?!

— Mogła podłożyć gdzie — schować w mieszkaniu i czekać, aż ucichnie śledztwo!

— Ależ co za przypuszczenie!

— O panie! miałem ja już i takie rzeczy w mojej praktyce! musimy szukać!

Skomłowski wzruszał ramionami, ale rewizję rozpoczęto. Po godzinnych mokołach, o dziwo! znaleziono paczkę papierów obwiązaną sznureczkiem w szufladzie z bielizną, w komodzie. Blau podniósł ją tryumfująco i ruchem ręki kazał swym podwładnym opuścić pokój. Pozostał tylko Wiejkin. Rozwiązano paczkę i przeliczono walory. Nie brakowało nic, ani listów zastawnych, ani koperty z sześćdziesięciu starannie złożonemi storublówkami.

Skomłowski był osłupiały. Ucieszył się niezmiernie i ścisnął za rękę Blau'a. Agent, po szczegółowym obrachunku, wyjął z koperty czterdzieści storublówek i pokazując je Skomłowskiemu, rzekł:

— Odliczam umówioną sumę nagrody. A oto pańskie zobowiązanie.

To mówiąc, podał mu oblig, podpisany niedawno w wydziale śledczym. Skomłowskiemu mina trochę zrzędała, jakby mu żal było rozstawać się z pieniędzmi, ale nic nie rzekł.

— Teraz najważniejsza rzecz, co z nią zrobić?

— Z kim?!

— Z pańską służącą — niema dowodu żadnego, że to ona zrobiła... chybaby ją wziąć u nas w wydziale na indagację — może się przyzna — nasi tam umieją się dopytać!

— A dajże pan pokój! — zawołał żywo Skomłowski — ja na to się zupełnie nie zgadzam! Sam pan powiadasz, że niema żadnych dowodów!

— No, przecież pan chyba nie schowałeś tu tych pieniędzy i nie poszedłeś się do nas skarżyć przez zapomnienie! Któż więc? nikt, tylko ona!

— Ale ja nie chcę! robi się zaraz hałas! bajki! gdzież ją aresztować! niema dowodów!

— Ha! jak pan chce!

— Ja i tak się boję, żeby pańscy ludzie nie rozpuścili buzi. Z wielu względów nie życzę sobie, by wiadano o tej kradzieży i wogóle o tych pieniądzech.

— Moi ludzie umieją milczeć. To rzecz służbowa. A skoro pan znowu jej broni...

— Ależ ani mi się śni! Mój komisarzu — nie żartuj pan już, proszę! Pieniądze się znalazły, co ja mam dalej dochodzić! Kto wziął, to wziął — ale oddał! to grunt! i bierz go dyabeł!

Blau nie nalegał. Pożegnał się i wyszedł, unosząc cztery zarobione tysiączki. Ale nieostrożność, a może nierozsądna ambicya popsuła cały ten tak mądrze obmyślony plan. Hektor Blau przyrzekł dać o całej sprawie szczegółowe i sensacyjne sprawozdanie jednemu z reporterów i słowa dotrzymał. Jakkolwiek nie było tam wcale mowy o domniemanych sprawcach kradzieży, jednak rzecz cała, ubarwiona dziennikarskim stylem, ukazała się pod sensacyjnym nagłówkiem na szpaltach jednego z najpoczytniejszych pism brukowych i obudziła szparką ciekawość niezliczonych próżniaków, narobiła wrzawy.

W ślad zatem poruszyły tę sprawę i inne pisma, zaczęto o niej gadać, rozmazała się cała ta rzecz.

Skomłowski, któremu tak zależało na zupełnej dyskrecyi, pękał ze złości. Miał dużo nieprzyjemności w domu z tego powodu, podobno nawet spotkała go od żony, nie wiedzącej dotąd o niczem, sympatyczna kwiatowa owacya, po której nosił jeszcze sine ślady na twarzy.

Wściekły myślał, jakby się zemścić, a był względem Blau'a niechętnie usposobiony z powodu jego drażliwych o swoim prywatnem życiu domysłów, no i z powodu owego arbitralnego zeskontowania obiecanej nagrody.

Blau sam się, pozbawił sposobu utrzymania Skomłowskiego w cuglach, rozpowszechniając sprawę, w której tamtemu zależało na zupełnem, głuchem milczeniu.

Skomłowski prędko wymyślił sobie rodzaj odwetu.

Oto wystąpił przeciwko agentowi z żądaniem zwrotu wziętych, jak twierdził, "nahalnie" czterech tysięcy rubli, utrzymując, że pieniądze nie były skradzione, że po prostu zarzuciły się pomiędzy rzeczami i że i tak ' musiałyby w końcu być odnalezione przez właściciela. Blau'owi zatem żadne do owej nagrody nie przysługuje prawo.

Rzecz prosta, Blau ani myślał zwracać czterech tysięcy, z których zresztą miał już tylko niewielkie resztki.

Kamienicznik jednak z pretensją swą umiał trafić wysoko.

Wdrożono na wyższy rozkaz śledztwo które z natury swej musiało być bardzo nieprzyjemne dla Blau'a, tem więcej, że Skomłowski wytoczył mu sądowy proces.

Historia ta stała się wtedy bardzo drażliwą.

Blau był skompromitowany.

Dzięki swoim ogromnym stosunkom potrafił on poniekąd złagodzić tok tej sprawy, powstrzymać jej tempo, ale nie mógł uniknąć ostatecznych następstw. Mógł je co najwyżej zatuszować przez zwrot owych czterech tysięcy. Tymczasem, nie mając pieniędzy i szukając ich nerwowo, przewlekał.

Ale i szansę wydostania pieniędzy znacznie osłabły.

Kredyt Blau'a był mocno nadszarpnięty, a nadużycia i wyzysk, pokrywany płaszczykiem służby, zwróciły się teraz, z chwilą powstania tej sprawy, przeciw niemu. Oskarżano go o zdzierstwa coraz jawniej, a choć nie śmiano, z różnych powodów, o rzeczy minione i doskonale pogmatwane występować z pretensjami — to jednak opinia agenta cierpiała w owym czasie szkaradnie. Sprawki jego opowiadano sobie wszędzie.

W dodatku, dla zwierzchności jego wyrodziła się stąd sytuacja bardzo przykra.

Skutkiem sprawy Skomłowskiego wyjść musiał na światło dzienne praktykowany powszechnie system. Musiało się ujawnić wiele rzeczy, które tolerowano zawsze po cichu, ale których aprobować jawnie w żaden sposób nie było można. Groziło to poważną kompromitacją już nie jednego agenta.

Wszystko to zważyło się na Hektora Blau'a ciężkim brzemieniem. Martwił się i wściekał z gniewu, ale nie tracił energii, ani tej zdumiewającej sprężystości, która wyrzuciła go na wierzch mętów tak prędko. Pracował dziś dużo więcej, niż zwykle, a jednocześnie przemyślał, co zrobić, by całą tę historię zatrzeć.

W takim usposobieniu zastał go miesiąc kwiecień 1902 roku, czas, w którym myślał on często, jak widać z notatnika znalezionej w Gdańsku, o "swoim przyjacielu, bankierze Minczewskim.

XI

POTRZASK ZAPADA. OSTATNIA KOLACYA BANKIERA.

Sprawa fałszywych pięćsetrubłówek spadła na warszawskie sfery finansowe, jak bomba, rzucając postrach i siejąc wszędzie podejrzliwą nieufność.

Oszustwo, którego próbowali dokonać nieujawnieni jeszcze sprawcy w banku wielkiej firmy Wilhelma Landaua i drugi, prawie równoczesny, a również udaremiony, truc u Kanarka i Dworzyckiego, narobiły ogromnej wrzawy.

Cała giełda była poruszona. Fałszowano banknoty największego kalibru, dopiero co wprowadzone w obieg — rzecz ta była dla sądów, policji, władz skarbowych wypadkiem bardzo ważnym.

Ekspertyza ustaliła odrazu różnice pomiędzy banknotami sfałszowanymi a dobrymi.

Polegały one na jaśniejszym nieco tonie zabarwienia i na omyłce drukarskiej w tekście, wydrukowanym na banknotach. Słowo "biletów" było przekręcone mianowicie na "bi-letew."

To jednak były różnice, dostrzegalne przez lupę, trudne trochę do skonstatowania na pierwszy rzut oka. Z tego powodu obieg pięćsetrublowych banknotów był bardzo utrudniony, wszyscy wzdragali się je przyjmować.

Dzienniki prześcigały się w podawaniu szczegółów i relacji, płynących "z pewnego, wiarogodnego źródła."

Policja sprawą tą nie była wcale zaskoczona.

Blau oddawna przygotowywał teren dla ostatecznej swej akcji przeciwko bandzie, której kierowników i inspiratorów znał od lat dwóch, a której resztę członków zdołał już wyśledzić.

W wydziale śledczym zajmowano się temi rzeczami dość dawno — od czasu ukazania się jeszcze owych podrabianych akcji śledztwo było wdrożone. Blau jednak kierował niem bez kontroli i dopiero teraz zdecydował się działać jawnie.

Z Minczewskim porozumiewał się on już w ciągu ostatnich paru tygodni i przekonał się, że szanowny finansista skutkiem namiętności swej do gry giełdowej był bliskim bankructwa, a conajmniej musiałby zlikwidować znaczną

część swoich interesów, by się od ostatecznej klapy uchronić.

Agent nie mógł dobyć z niego sumy, jaka mu była potrzebna. Na razie jednak sprawa fałszerzy zajęła go tak bardzo, że przestał się kłopotać o Skomłowskiego.

Blau otrzymał z góry stanowcze, bardzo wyraźne polecenie użycia całego swego sprytu w kierunku ujawnienia i przyłapania całej bandy fałszerzy. Dano mu nawet poufnie do zrozumienia, że sukces ten wyjdzie na korzyść jego własnej sprawie.

Było to zresztą dla człowieka tego, co Blau, wyjątkowego pokroju i specjalnego usposobienia pierwszorzędną emocją. Nazwisko jego, powtarzane przez gazety z widocznym zaufaniem, stało się znów bardzo popularnym. Spędzał też całe dnie i noce na mieście. W domu stał się prawie gościem, mimo narzekania i wyrzutów kobiety, z którą żył i do której po swojemu był przywiązany. Śledztwo, prowadzone z precyzją, pochłaniało go zupełnie. Nie miał nawet czasu na asystowanie przy indagacji różnych zwykłych rzezimieszków, których w ratuszu nigdy nie brakowało. Polował na grubego zwierzaka. Łowy te sprawiały mu zresztą emocję potężną. Bawił się swym łupem, jak kot myszą.

Aresztowano najpierw Okólskiego, bawiącego pod Warszawą na willegiaturze. W ślad za nim uwięziono parę innych osób, należących do bandy. Duszę jej jednak i głowę — Minczewskiego — trzymał Blau wciąż na nitce. Widywał się z nim po parę razy dziennie i wymęczywszy go do woli, pozostawiał jeszcze na wolności.

Pewnego popołudnia nareszcie, około godziny szóstej, Blau konferował dość długo ze swymi zwierzchnikami, poczem zebrał dodanych sobie do pomocy agentów i wydał im krótkie, ale treściwe i ścisłe dyspozycje, następnie zaś wyszedł na miasto.

Pogwizdując, przeszedł plac Teatralny i wstąpił do cukierni Semadeniego pod "Filarami."

O tej porze było tam zawsze rojno i gwarno. Na prawo siedziały damy, pijąc poobiednią kawę, czekoladę, herbatę w towarzystwie nielicznych mężczyzn. Był tutaj świat teatralny, finansowy, literacki i ten dziwny światek osobistości nieokreślonych, który ma wygląd dosyć *louche*, a kręci się wciąż koło trzech wymienionych powyżej.

Dwa pokoje z głębokimi niszami, oświetlone jasno gazem, pełne były słodkawej woni ciast, czekolady, owoców, zmieszanej z zapachami przeróżnych, ale dobrych perfum. Snuły się po nich dyskretne uśmiechy, wesole

półśłówka, czasem głośne wykrzykniki, częściej jednak szepty, ginące w szeleście jedwabi, ale akcentowane wymownymi spojrzeniami.

Znali się tu wszyscy, jeżeli nie osobiście, to przynajmniej z widzenia, z tych codziennych niemal spotkań, bądź tu, bądź w teatralnych kuluarach na górze. Panowała atmosfera zacisznego, ciepłego, a nie zbyt rażąco jasnego kąta, gdzie można było odbyć przyjemne rendez-vous w dyskretnym otoczeniu dobrego towarzystwa i gdzie podniecenie myśli podsycano się ciepłem, paru kroplami wykwintnego likieru i doborowymi łakociami.

Blau wszedł zwolna do bufetowego pokoju, skąd widać było oba pełne saloniki dam, popatrzył i skierował się na lewo do tak zwanego "fumoiru."

Duży ten, ale nieregularny pokój, o dziwacznych załamach i zagłębieniach, ma ustaloną markę w kronice warszawskiej.

Jest to puszka Pandory, mająca swoje regularne, codzienne odpływy plotkarskich "wiatrów opinii."

Tutaj schodzą się w godzinach południowych, głównie jednak wieczornych, przysięgli tej opinii kowale.

W południe "fumoir" Semadeniego (latem werenda pod filarami) odgrywa rolę "salonu depez." Edylowie i cenzorowie opinii wstępują na krótko wtedy. Pijąc herbatę lub kawę — koniak lub wermouth — jedząc paszteciki lub "portsmouthy" siedzą w krzyżowym ogniu wiadomości, znoszonych ze wszystkich stron.

Artykuły wstępne porannych pism, ostatnie polityczne telegramy, relacje z obrad magistratu, giełda, polemiki dziennikarskie, repertuar teatrów, wiadomości zakulisowe i buduarowe, a przede wszystkim dokładne sprawozdania z ubiegłego wieczoru, ma się rozumieć z możliwie ściśle danymi co do wyników pokera, baka, ferbla, winta, starożytnego preferansa lub dystygowanego bridge'a — dostarczają tematu.

Ale w południe wiadomości tych się nie analizuje, nie podlegają one dyskusji. Są meldowane w stylu telegraficznym. Członkowie areopagu, ze względu na brak kompletu, przyjmują je do wiadomości w sposób poważny i namaszczony, czasem dorzucają lakoniczny komentarz lub cięty kalambur i opatrzona taką marką kronika bieżąca idzie już w kurs.

Komplet areopagu zbiera się dopiero wieczorem.

We "fumoirze" zaczynają się schodzić: adwokaci, doktorzy, artyści, dziennikarze, literaci, kupcy, platoniczni mecenasowie sztuki, autorowie

dramatyczni, muzycy, urzędnicy rządowych teatrów, dyrektorowie wolnego słowa, rozwichrzeni politycy, wreszcie pokerzyści, bakaratyści, ferbliści, preferansiści, winciści i poprawni bridge-man'owie. Połowa członków co najmniej jest zresztą usposobienia wybitnie sportowego.

Rozpoczyna się dyskusja przy dwóch stołach prostokątnych pod główną ścianą, Repertuar kroniki dziennej, uzupełniony, zaokrąglony, roztelefonowany w ważniejszych wypadkach, ustępuje miejsca dysputom politycznym i sportowym. Pożeracze gazet wymykają się do okrągłego stołu, w przeciwległym zagłębieniu, inni załatwiają poufniejsze interesa przy małych stonkach w niszy. Na środku krzyżują się bons-mots i nouvelles à la main, a wśród nie pada co chwila świetna, raca ostrego choć pogodnego dowcipu z ust znanego doktora o długiej, kręcącej się brodzie i głębokich, kontemplacyjnych oczach marzyciela.

Osobistości przygodne, jeżeli zapłaczą się przypadkiem w ten swobodny gwar żytego i zestrojonego kółka, siedzą na uboczu zdziwione i onieśmielone. Czują się tam nieswojo i zwykle po szybkiej konsumacji zmykają.

Aby tam móżdż swobodnie siedzieć, trzeba należeć do tej uprzywilejowanej gromadki, albo przynajmniej mieć wśród niej znajomych.

Kiedy Blau tam wchodził, wychodzono już. Jedni do teatru, drudzy do domu, inni w jeszcze przyjemniejsze od tych obu miejsca, a amatorzy gry łączyli się w partye podług swej przynależności i zawołania stolikowego.

Parę osób jeszcze siedziało jednak, czytając wieczorne pisma.

W pustej już niszy siedział przy małym stoliku starszy, barczysty mężczyzna o szerokiej twarzy, pijąc herbatę. Drgnął, zobaczywszy Blau'a. Ten podszedł ku niemu z uśmiechem.

— Dobry wieczór, panie Grlanz! — rzekł, siadając obok — Antosiu! szklanekę herbaty! — zawołał do kelnera.

— Czekam na pana od pół godziny — rzekł cicho Glanz.

— Nie mogłem wcześniej — byłem dziś bardzo zajęty.

— Co słychać?

— Nie słyszałem nic nowego. Podobno pański siostrzeniec Pinkusfeld się żeni.

Glanz się zachnął.

— Proszę pana! co mnie obchodzi Pinkusfeld?! niech on się powiesi nawet! Ja

pana o co innego pytam!

— No? o cóż takiego?

— Pan zawsze musi greka robić!! o siebie! — Ah, o siebie się pan pyta! niby... w jakim sensie?

— Proszę pana, nie męcz mnie pan! mnie i tak mało szlag nie trafi! co słychać z naszą sprawą?

— Z którą? panie Glanz.

— O pięćsetrubłówki!!

— Ah! o to pan pyta!.. hm! pan przecież nie należał do tego?

— Ale należałem do innych! poco pan robi to udawanie?.. przecież ja się mało nie skręczę! patrz pan! cały mokry jestem!

— Hm! obetrzyj się pan — na dworze chłodno — możesz pan dostać kataru, wychodząc w takim stanie!

Glanz zaciął usta. Blau wolno popijał herbatę.

— Panie! czy ja mogę się nie bać już?

— Ja na pańskim miejscu nie bałbym się niczego.

— Aha! a czy pan co zrobił dla mnie?

— Co ja miałem dla pana zrobić?

— Pan obiecał mnie wykręcić z tego...

— Hm! kręcę...

— To mnie nie grozi nic?...

— W tej chwili — nic.

— A potem?... panie komisarzu! zlituj się pan!

— Potem — to zależy od pana.

— Jako odemnie?

— No — trzeba się trzymać przy śledztwie.

- To ja będę badany? oj, jej!
- Musisz pan być przesłuchany. Pańskie nazwisko figuruje w aktach sprawy.
- Bodaj one przepadły! niech je choroba!
- Na to niema rady.
- Ale czy mnie nie mogą nic zrobić?
- Powiadam panu — w tej chwili nic.
- Oj! żeby pan wiedział, jaki ja mam strach.
- Głupstwo! będą się pana pytać — cóż wielkiego. Nie należałeś pan do nich, zerwałeś oddawna z Minczewskim przecież.
- Tak — ale się boję, żeby tamte sprawy nie wyszły...
- Głupstwo. Przygotowałeś pan co? Glanz wydobyl z kieszeni kopertę szarą i podał ją Blau'owi. Ten pomacał ją,
- Ile? spytał.
- Czteryście... wszystko co miałem...
- No, dobrze! nie bój się pan nic. Oni pana może będą próbowali nastraszyć śledztwem. Bądź pan spokojny. Może dziś pana nawet wezmą?
- Jakto dziś?! teraz przecie wieczór!
- Właśnie dla wrażenia — dla strachu. Pan się niebój nic! no, do widzenia!
- Niech pan zaczeka! ja wyjdę z panem!
- Dobrze. Chodź pan.

Zapłacili i wyszli. Za ledwie doszli do rogu Wierzbowej, kiedy przysunął się do nich jakiś obcy jegomość.

- Przepraszam pana komisarza — rzekł — mam rozkaz poprosić tego pana do wydziału...
- Mnie?!! cofnął się Glanz.
- Tak, wszak pan Glanz? agent giełdowy?

Biedak zaskoczony trzął się jak w febrze.

— Blau z jegomościem obcym zaczął mówić po cichu.

— Głupstwo, panie Glanz! możesz pan iść spokojnie! cicho!

— Pa.. pa.. panie komisarzy! Czy ja.. na., n.. naprawdę mogę iść spo... spoko...
kojnie... ? jąkał agent giełdowy.

— Ależ naturalnie! Ja tam zaraz przyjdę zresztą! za dziesięć minut będę pana
widział! Do widzenia kochany panie Glanz.

Ukłonił się i odszedł.

Glanz ujęty pod rękę, martwy prawie ze strachu, poszedł w towarzystwie
łapacza ku ratuszowi.

Tymczasem Blau spojrzawszy na zegarek wszedł do restauracji Stępkowskiego.

— Czy jest pan bankier Minczewski? spytał portyera oddając paltot i laskę.

— Tak jest. Czeka z kolacją w czwartym gabinecie.

Agent poprawił przed lustrem włosy, przyczesał wąsy i skierował się w korytarz.

W czwartym gabinecie istotnie oczekiwano go z niecierpliwością.

Na kanapie siedział Minczewski obok dwóch młodych kobiet.

— A! nareszcie! rzekł z westchnieniem ulgi, jakiej nigdy dotąd na widok Blaua
nie odczuwał.

— Przepraszam państwa jeżeli się spóźniłem — rzekł tenże — winny temu
zajęcia mam nadzieję że mi to panie wybaczą!

— Oh! vous êtes toujours bien desiré, monsieur! rzuciła mu brunetka.

— Gardez-vous de me gêner, mademoiselle! odrzekł agent z wytwornym
ukłonem i poprawnym akcentem.

— No, pas des blagues, mes amis! jedzmy co bo jestem strasznie głodna!
zawołała druga dama,

Minczewski zadzwonił.

— Podawać! rozkazał kelnerowi. Zaczęła się biesiada wykwintna i miła.

Obie francuzki i Blau byli w wybornym humorze. Minczewski tylko jadł mało, pił zato ciągle i zachowywał się nieco nerwowo.

Przy deserze jednak i trzeciej butelce szampana zaczął i jego humor wracać do równowagi.

— Wiecie państwo, mam pyszny projekt! rzekł Blau. Poco mamy się tutaj dusić w tym gabinecie? jedźmy wcześniej za miasto: zamiast na białą kawę, pojedziemy do Sielanki na czarną! Noc wspaniała!

Pomysł przyjęto ochoczo. Minczewski szczególnie okazywał wielką chęć wyrwania się z miasta. Było dopiero wpół do dwunastej.

Zapłacono rachunek, a Blau wyszedł na chwilę, do telefonu, by uprzedzić swój wydział że już w nocy nie wróci.

Kobiety pośpieszyły się i pierwsze zasiadły w dobrej, gumowej dorożce. Blau wolno kładł palto i szukał w portmonetce drobnych. Minczewski ubrawszy się prędej wyszedł i właśnie stawiał nogę na stopniu powozu, kiedy nagle z obu stron jego stanęło dwóch ciemno ubranych panów. Spojrzał na nich i w lot zrozumiał sytuację. Machinalnie chciał się cofnąć. Ale czarno ubrani panowie ujęli go z obu stron pod ramiona.

— Z rozkazu naczelnika policji — aresztujemy pana! rzekł jeden z nich.

I szybko poprowadzili go do drugiej, stojącej w pogotowiu dorożki.

Francuzki oniemiałe, nie rozumiejące co się stało, patrzyły na Blau'a, który stał w przedsionku restauracji i z uśmiechem zapalał cygaro, ostatnie z tych rublowych cygar, któremi raczył go zwykle Minczewski.

— Jedźcie panie do domu! rzekł do nich nareszcie kłaniając się nisko — zepsuto nam na dziś zabawę!

Podniósł kołnierz i wszedł do trzeciej dorożki.

* * *

— Kawiarnia Bristol! piorunem! rzucił woźnicy.

Dorożkarz zaciął konie.

W trzy minuty wysiadł przed kawiarnią.

Gdy wszedł, jakiś pan z czarnymi faworytami i wydatnym nosem semickiego rysunku wstał i skierował się pomiędzy stolikami ku schodom prowadzącym do gabinetu toaletowego nadół.

Blau zdjął paltot, rozejrzał się po sali i kazał sobie podać czarnej kawy.

Potem szukając niby jakiegoś dziennika, zwolna zaczął lawirować pomiędzy stolikami, wreszcie doszedł do tych samych schodów i zniknął.

Na dole stał przed lustrem ów pan z faworytami.

— Niema nikogo tu, sprawdziłem! szepnął nie odwracając się.

— Dotrzymuję słowa. A pan? rzekł Blau.

— Ja również. Mam w kieszeni.

— Dobrze. Cały?

— Cały.

— A zatem daj pan, idź na górę, ubierz się, wyjdź i pędź na dworzec wiedeński. Masz dwadzieścia dwie minuty czasu.

— Oto pieniądze. Tysiąc rubli. Przelicz pan. Same setki.

— Wierzę panu bo pana znam. Masz pan zimną, dobrą głowę, panie Frydsohn! Ale jedź pan. Niema, ani minuty czasu. Powinienem już teraz pana szukać i skoro pan ztąd wyjdiesz — nie znamy się. Glanz Minczewski już w klatce. — Oh! już....

— Już. Jedź pan — szczęśliwej drogi!

— Powodzenia] dziękuję panu!

Frydsohn wyszedł. Blau po chwili wrócił też na górę, wypił kawę i przyjechał do domu.

Nazajutrz doniosły dzienniki o aresztowaniu bandy fałszerzy i ucieczce jednego z nich, Frydsohna.

XII

OKRES MARTWY. NOSIŁ WILK...

Wykrycie i, przyłapanie bandy fałszerzy pięciosetrublówek było ostatnim wielkim i tryumfalnym czynem Hektora Blau'a w zakresie że tak powiem... cywilnym. Gwiazda jego wysilała się wówczas na ostatki złotych swoich promieni, które otoczyły głowę agenta bohaterską aureolą powszechnego zasłużonego rozgłosu.

Imię jego zabłysło świetnie podczas procesu bandy, przeprowadzonego już w późnej jesieni r. 1903 a udział jego przeważny w tej wielkiej "cause célèbre" i usługi oddane w tym czasie policji osłabiły, odwlokły nawet zbliżający się, krytyczny w życiu Blau'a przełom.

Przez cały ten okres pracował gorliwie i z niesłychaną energią.

Bandy opryszków, rozwijające się wspaniale w tym okresie "nożownictwa" warszawskiego tępione były bez miłosierdzia, prześladowane przez niego zapamiętane. Ilu tych zdegenerowanych Mohikanów Warszawy wyłapał ten człowiek, ilu ich przeszło pod jego kierunkiem ponure i tragiczne, krwawe sceny śledztwa — niepodobna by zliczyć.

Wiedzą o tych czynach naszego bohatera akta sądowe, gdzie imię jego wymieniane jest przy każdym prawie tego rodzaju procesie.

Imię to przejmowało najzuchwalszych. i najdzikszych nawet nożowców złowrogim dreszczem strachu i jakąś zabobonną trwogą. Bajeczny spryt Blau'a w tropieniu rzezimieszków i jego zdumiewający zmysł orientacyjny w tym kierunku uważali oni za jakąś nadprzyrodzoną zdolność fizyczną, której się obawiali i przeciwko której nie śmieli występować.

Łowy te, prowadzone bez wytchnienia, zahartowały nerwy agenta, ale nie stępiły bynajmniej ich wrażliwości. Lubował się on. jak dawniej w analizie i widoku ludzkiego cierpienia, ale dziś był dzikszy, bezwzględniejszy jeszcze i brutalniejszy w wywoływaniu jego objawów. Natomiast obyczaj jego, pewna skłonność do życia wytworniejszego, kulturalniejszego sposobu życia, poczęły grubieć i zacierać się.

Szukał teraz wrażeń ciągle silniejszych.

Orgie jego stawały się coraz to pospolitsze.

Przechodził w nich granice, zakreślone organizmowi ludzkiemu przez naturę.

Robił wrażenie człowieka, podlegającego pewnym silnym zboczeniom psychologicznym.

Stawał się z każdym dniem rozrzutniejszą, marnotrawnym do szafu.

Zdobywał ciągle pieniądze, wysilając w tym kierunku swój spryt od najwyrafinowanych kombinacji aż do prostego, brutalnego, cynicznego rabunku.

Pewnego razu dowiedział się, iż jeden z jego "pupilów," człowiek mocno podejrzany o zręczne przywłaszczenie sobie cudzego, znacznego mienia, zachorował śmiertelnie.

Człowieka tego próbował on już zmusić do wyznania wszelkimi sposobami, ale wszystkie te wysiłki okazały się bezskuteczne. Dowodów żadnych nie było. Musiano go w końcu uwolnić, chociaż Blau był przekonany o jego winie. To właśnie go podniecało, że ten człowiek wytrzymał wszystko, wziął nad nim górę. Miał go więc ciągle w niewidzialnej, lecz troskliwej opiece. Chodziło przytem o sumę znaczną, a agent wciąż potrzebował pieniędzy.

Kiedy doniesiono mu o chorobie owego człowieka, utrzymującego dla pozoru mały warsztat stolarski na Woli, Blau zastanowił się mocno.

Tego samego dnia wydał podwładnym swym tajemnicze polecenia i przed wieczorem pojechał na Wolę.

Wszedł tam do jednego z niepozornych domów.

W niespełną godzinę z domu tego wyszedł zgarbiony, siwy, zawiędy ksiądz w sutannie znoszonej, skrojonej staroświeckim zakonnym prawie fasonem. Staruszek ten, sunąc powoli o kiju, zapuścił się wolno w ciemne, nędznie oświetlone ulice i zginął w labiryncie niskich domów przedmieścia.

Wynurzył się po upływie pół godziny może, przed domkiem, zamieszkanym przez chorego stolarza. Właśnie mijał niedomknięte drzwi, gdy noga wykręciła się mu na nierównym oślizgłym bruku i staruszek z głuchym jękiem bólu padł na kamienie tuż obok progów.

Leżał tak jęcząc i nie mogąc powstać dobry kwadrans, aż ktoś wewnątrz domu usłyszał jego stękanie.

Wyjrzano — podniesiono go i ponieważ srodze się potłukł, a na nogę nie mógł wcale stąpić, wniesiono go do izby.

Tam opatrzone chore miejsce okładami zimnej wody i ponieważ "duchowna osoba" nie mogła marzyć o dostaniu się pieszo do miasta, a dorożki żadnej o tej późnej porze nie było, więc zatrzymano staruszkę na noc.

W tej samej izbie na wysoko pierzynami zastanem łóżku leżał postępując właśnie ów śmiertelnie chory pupil Blau'a, gospodarz tego mieszkania. Światła nie gaszono na noc z tego powodu, a dwaj chorzy, skoro gospodyni i służąca poszły już na drugą stronę na spoczynek, poczęli zcicha gwarzyć.

Ksiądz wypytywał się gospodarza o jego chorobę, zwałół się nawet z trudem o kiju, by go obejrzeć, utrzymując, że zna się na medycynie.

Oględziny źle bardzo dla chorego wypadły.

Ksiądz wyznał mu ze wzdraganiem i płaczem, że dłużej nad dobę nie przeżyje.

Wiadomość ta strasznie obu zgnębiła. Stolarz znał swój stan, ale nie przypuszczał jeszcze, że policzone są już jego godziny.

Zapłakali Obadwaj. Księży na szlochał, jak bóbr; wreszcie, jako osoba myśląca więcej o wiecznym niż doczesnym żywocie, począł w stolarzu wzbudzać skruczę i pobożne refleksye ze względu na awizowany już moment śmierci i straszego sądu Bożej sprawiedliwości.

Mówił tak wzruszająco i rzewnie, dobierał argumentów tak poważnych i silnych, że skruszony stolarz począł wreszcie razem z nim wzdychać i jęczeć, aż staruszek, biegły widać w duchowej terapii lekarz, zaproponował mu spowiedź.

Chory zgodził się z ochotą. Wówczas ksiądz wyjął z kieszeni starannie w papier zawiniętą stulę i pomodliwszy się, począł go słuchać, pochylony w półcieniu nocy nad łóżkiem.

Akt pokuty trwał długo. Widać stolarz nazbierał sobie dość poważny zapas różnych grzechów, a rozstanie się z nimi przychodziło wcale nie łatwo. Staruszek ksiądz musiał mu niejednokrotnie pomagać, przywoływać na sukurs różne, straszne obrazy pośmiertnych mąk, wreszcie kazał mu schylić głowę, bić się mocno w piersi i powtarzać słowa absolucyi.

Po tem wszystkim trącił go na znak, że spowiedź skończona.

Stolarz wyprostował zgarbiony korpus, chciał sięgnąć do ręki księdza, spojrział mu w oczy — krzyknął przeraźliwie i padł w tył na poduszki...

Obok łóżka nie było już księdza.

Znikł gdzieś.

Stał zato w sutannie wyprostowany Hektor Blau i uśmiechał się szatańsko.

.....
.....
.....
.....

Stolarz w parę godzin zmarł istotnie.

Ale Hektora Blau'a przy jego łóżku spostrzegły wówczas kobiety nadbiegłe na krzyk konającego.

O wszystkich tych kawałach Blau'a opowiadano sobie w mieście głośno.

Naturalnie fantazyja, ludzka nie próżnowała. Improwizowano coraz nowe opowiadania na jego rachunek.

Ale dzień przelotny nadchodził zwolna.

Sprawa Skomłowskiego wisiała wciąż nad głową Blau'a jak miecz Damoklesowy.

Ostatecznie musiała przyjść na stół.

Tymczasem służbowe stosunki zmieniły się znacznie. Na czele miejscowej władzy stał inny już człowiek, rozpoczynał się nerwowy, przedrewolucyjny okres w którym czuć było jakieś nowe powiewy. Bano ich się instynktownie wszędzie, nie wiedząc z kąd wieją i co przynoszą w mroku.

Sprawa Skomłowskiego otrzymała termin. Termin ten nadszedł i Blau stanął przed sądem.

Echa jego strasznych nadużyć były już wówczas głośniejsze od zasług położonych dla władzy, zresztą sprawa potrącała o fakty zohydzone w opinii publicznej, których w żaden sposób nietylko aprobować, ale pomijać milczeniem nie było już można.

Skomłowski, a nietylko jeszcze on, ile jego adwokat, rozumieli jaką grę grają. Postarali się więc ze ścisłą drobiazgowością o nagromadzenie materiału dowodowego, o niechybną możliwość powołania na światło przed sądowym forum takich rzeczy, które musiały zgubić Blau'a.

Daremnie starała się jego bezpośrednia władza omijać wiele rzeczy drażliwych.

Wszystko obracało się przeciwko agentowi. Proces jako sensacja był powodem rozgadania się prasy i tysięcznych w całym mieście komentarzy.

Ostatecznie — skazano Blau'a na karę więzienia.

* * *

Hektor Bla'u przekonawszy się, że nie pomogą już apelacje, zrezygnował się karę odsiedzieć.

Więzienie jego dla łatwo zrozumiałych powodów nie było wcale tą ostrą i surową karą jaką bywa ono dla zwykłych przestępców. Bądź co bądź miał on wszędzie stosunki, przyjaciół, poparcie i cichy już teraz ale szczyry fawor wyższy.

Kara więc jego ograniczała się raczej do pozbawienia go wolności ruchu, nie wiele obostrzyła jego sposób życia.

Ale dla natury tak czynnej i energicznej jak Blau było to właśnie ciężką próbą.

Zapadał w okres martwoty — w rodzaj bezwładu.

Nadto wiedział że nie będzie mógł już' służyć w tych warunkach co przedtem.

Kara znosiła jego rangę, przekreśliła lata i stan służby, pozbawiała go wielu praw.

Miesiące za miesiącami płynęły mu wolno, sennie i martwo. Ludzie porwani codziennym rozpędem życia, obryzgiwani co dnia falami nowych wydarzeń i wrażeń, zapominać już po trosze o jego istnieniu poczęli, kiedy przyszło ułaskawienie dla Blau'a.

Ułaskawienie uwalniało go od reszty kary — otwierało mu możliwość pewną powrotu do służby, ale nie zmieniło w niczem jego sytuacji pod względem stanowiska, nie przywróciło mu stopnia.

Hektor Blau wyszedł z więzienia swego posępny i ociężały, ale wcale nie złamany na duchu. Energia jego gromadziła się w ciągu długich beczynnych tygodni zarówno z zaciętą złością, którą fabrykował w sobie w ciągu tej długiej martwej ciszy. Było mu wówczas źle. Nie miał do nikogo specjalnej pretensyi, chyba do jednego Skomłowskiego. Ten jednak właśnie niedawno umarł na

apopleksyę.

Blau miał umysł oświecony, pewne wyższe, a przynajmniej rzadkie u ludzi jego zawodu wykształcenie, znał kawał świata, był odczytany.

Był przytem zawsze bardzo stanowczy w zamiarach zarówno jak i w poglądach i pojęciach. Niemógł wstrzymać się od analizowania swej sytuacji i doszedł do pewnego filozoficznego w tej sprawie stanowiska.

Począł mianowicie wierzyć, że społeczeństwo jest przypadkowym zbiegowiskiem ludzkich jednostek, które żyją obok siebie i ze sobą dlatego, że kula ziemską jest niestety, zamała dla ich osobnego rozmieszczenia. Wzajemne stosunki tych jednostek, poddane pod pewną normę ogólnych zwyczajów i praw, są okropne — prowadzą wciąż do kolizji. Ale w kolizjach tych utrzymują się górnicy ci którzy potrafią bezlitośnie, bezwzględnie drugich deptać, by sobie zrobić miejsce.

Takiego stanu rzeczy nie można zmienić, ale można w nim wyteńczyć swoje siły by zająć właśnie stanowisko dominujące, gniotące, zatem bezpieczne. Siły do tego dosyć czuł w sobie — chęci wyrobił, a teraz sankcjonował swe usiłowania taką filozofią.

Postanowił iść przez życie miażdżąc drugich. Lubił to, a każde zgniecione istnienie dawało mu według jego pojęć haust wolnego oddechu.

Blau wyszedłszy z więzienia porozumiał się dyskretnie z władzą swą dawną, otrzymał paszport zagraniczny i na czas pewien opuścił Warszawę.

XIII

SZCZĘŚCIE POWRACA.

Zmienna zima r. 1906, owa pamiętna w dziejach całego państwa i naszego ziemi kawała, zima wybuchających fermentów, szalonych nadziei i szalonych rozpędów, była dla pewnych organów władzy epoką nieustannego alarmu i dziwnych, zdumiewających niespodzianek.

Hektor Blau krótko tylko mógł wypoczywać zagranicą. Wezwano go z powrotem.

W Warszawie czuć było jakieś drganie atmosfery, jakiś nieuchwytny ruch dziwnych, gorączkowych, niewiadomo z kąd wiejących prądów. Coś gotowało się w umysłach — coś drżało w łonie całego kraju. Te same objawy dostrzeżono zresztą gdzieindziej, na całym szerokim obszarze olbrzymiego państwa i sygnalizując ich pojawienie się, rozkazywano przedsiębrać przeróżne, nadzwyczajne środki ostrożności.

Starym, wypróbowanym systemem trzeba było poznać najprzód skryte źródła tych drgań — potem je umiejętnie spuścić, zdrenować cały teren, z niezdrowych prądów osuszyć. Siła tej, co Blau miary, była potrzebna — więc ją wezwano.

Skoro tylko przybył — rozpoczął tropić.

Niepotrzebował obeznawać się z sytuacją. W lot, o co idzie, zrozumiał.

Rozpoczął się nowy okres jego działania. Epoka ta była politycznego przeważnie charakteru, więc takim było i działanie jego. Pierwsze objawy ruchu o którym mowa ukazały się w Warszawie w późnej jesieni roku 1904.

Dzień Wszystkich Świętych...

Grzybowski Plac...

Potem przyszła zima. Trwożny grudzień i zdecydowany styczeń. Petersburskie wypadki i trop w trop za niemi, pierwszy w Warszawie, ogólny strejk.

Tej zimy, w styczniu, na skąnym pokrowcu śniegu, zakwitły znowu purpurowe kwiaty — złudzeń...

Przelewały się także i szumowiny z tych złudzeń — kipiątek nadziei wyrzucał

błoto swych lepkich fusów — obryzgiwał nimi czerwone i amarantowe sztandary...

Runęła w zbudzony war wrzawa hasał bystrym, ciemnym potokiem — i jako kiedyś, na chmurosiężnym cokole Babelu, poczęły się mieszać języki w splątany, chaotyczny gwar...

Ale wierzchem wiał świeży wiatr i budził zimnemi skrzydły dusze odrętwiałe i śpiące.

A tęsknota pokoleń i lat rozpałała się w jasny stos i łuną skrawa, gorącą po sercach szła, jako piętnujące żelazo i krew się od niej czerwonym zapalała płomieniem...

* * *

Gabinet był zaciszny, wygodny — ściany nie miały w nim uszu, choć każdy sprzęt, każdy świstek papieru na szerokim dębowym biurze, mówił wyraźnie, że trzeba wszystko słyszeć, widzieć i wiedzieć, albo, że się wie — udawać.

Na głębokim fotelu za biurkiem siedział człowiek o twarzy szarawo-bladej, poprzecinanej licznymi zmarszczkami, na której oczy, jakby wgniecione w głąb ciężarem zwisających z czoła fałd skóry, rysowały się dwoma ważkimi szparami powiek. Z pośród tych czerwonych, prawie bezwłosych i tak cienkich, że niemal błoniastych obwódek, świecił się ostry promień przysłoniętych źrenic. Czasem powieki rozsuwały się na moment ukazując oczy mętne we, o wypełzłych, szarych tęczęwkach koloru i blasku zużytego, rzeźniczego noża. Dół twarzy okryty rzadkim, nie wiele od niej ciemniejszym zarostem, ginął w ciemno szafirowym, sztywno stojącym, wysokim kołnierzu surduta, który krył całą widoczną i wciśniętą w głąb siedzenia część korpusu.

Z drugiej strony biura, na krześle, siedział Hektor Blau, z otwartym notatnikiem w ręku, nieco podany naprzód z pewną uniozoną skwapliwością i słuchał pilnie, zapisując sobie ważniejsze wskazówki, czy polecenia.

— Dziś mamy dwudziestego czerwca według nowego stylu — mówił głos z fotela — zatem, jeżeli pan wyjedziesz wieczorem to jutro będziesz na miejscu. Ten zjazd jest dopiero dwudziestego szóstego, ale chcę żebyś pan był tam parę dni przedtem. Niejeden przyjedzie wcześniej i łatwiej za nim pochodzić — w dniu zjazdu i oni się będą więcej pilnować. Zresztą i na tych co tam siedzą trzeba też popatrzeć. Spisy pan masz?

— Tak jest. Otrzymałem razem z paszportem.

— Pokaż pan.

— Oto są, ekscelencjo.

Przez stół wyciągnęła, się ręka cienka o długich, mackowatych palcach. Blau włożył w nią ze skromnym wdziękiem złożony w czworo arkusz papieru. Chwilę trwało milczenie.

— Tak. To są ostatnie sprawki. Weź je pan nazad, a przybywszy niezapomnij w Wiedniu porównać z ostatnim ich tam raportem. Może kto nowy przybył.

— Uzupełnię, ekscelencjo.

— Tak. W jakim hotelu pan się zatrzymasz?

— W eleganckim, droгим i arystokratycznym hotelu, gdzie gości dobrze płacących służba i urządzenie domu z przyjętego zwyczaju nie kontroluje i chroni od zetknięcia z kimkolwiek z innej sfery, gdzie cena jest najlepszym i uniwersalnym paszportem, z kądem równie blisko do centralnego biura policji, do ambasady i na Mayreder-Grasse — słowem u Sachera, albo w Imperial'u.

— Dobrze. Rozumiesz rzemiosło i dbasz o swoją skórę. Lubię ludzi którzy o nią dbają. To gwarantuje powodzenie. Co do kosztów -- pozwalam panu nie krępować się zbytnio. Masz list do barona von Zungen?

— Mam ekscelencjo.

— Pokaż.

— Elegancka koperta z żółtawego papieru z odciskiem herbowym powędrowała przez stół.

— Bydło! — ryknął głos z fotelu — wypisuje dureń adres mieszkania na wierzchu! a ty także nie miałeś oczu! A gdyby cię gdzieś nakryli? poco dawać do ręki ślad! na to chyba, żeby i tamtemu zaraz zepsuć robotę! — To mówiąc zerwał kopertę podarł ją w drobne kawałeczki i wydobywszy z biurka inną, podobną, rzucił ją przez stół Blau'owi.

— Pisz pan — rzekł — Seiner Excellenz, dem Herrn Baron Arnold von Zungen — więcej nic niepotrzeba — nawet nazwy miasta — bryftregiercm ty jesteś sam i adres tylko ty znać powinienes! Masz go zapisany?

— Mam, ekscelencjo.

— Pokaż pan.

Blau podał notatnik. Znów chwila cichego przeglądu.

— Dobrze schowany. Te inne adresy, to co?

— Puste wiersze ekscelencjo, dla niepoznaki — numer dziewiąty tylko ważny i zgadza się z numerem domu.

— Sprytnie. Powinieneś być mieć ten sam spryt widząc niepotrzebny adres na kopercie.

— Zawiniłem, ekscelencjo.

— Te inne notatki tu, jaką cyfrą pisane?

— Moją własną, ekscelencjo.

— Klucz jest notowany?

— W wydziale, nie, ekscelencjo!

— To wyjeżdżając trzeba go nam pozostawić — może zajść jaki wypadek nieprzewidziany... np. mogliby cię... zdusić gdzieś i mogliby zapomnieć, lub niemódz obrewidować — w takim razie zostałyby przy twoim trupie notatki, które mogłyby nam być potrzebne — trzeba wszystko przewidzieć! Weź-no pan tę książkę i zapisz zaraz klucz!

To mówiąc podał przez stół długą książkę, oprawną w zielone płótno.

— Klucz mój ekscelencjo jest bardzo prosty — zwykła trzecia cyfra tylko od każdej litery odejmuje się jedenaście — czyta się łatwo.

— Tak — dosyć sprytnie — więc zapisz pan obok swego nazwiska — w 10 rozdziale — *cyfra trzecia minus 11*. Tak. Co to jeszcze?

Znów sekunda milczenia. Długie chude ręce o niecierpliwych palcach drgających, jak łapy ściennego pająka, poczęły przetrząsać leżące na biurku papiery.

— Aha. Jeszcze jedno. Muszę uprzedzić pana że jedziesz na ekspedycję podwój-, nie trudną. Nie mówię nic o tem co i jak trzeba zrobić. Gdyby to trzeba było panu tłumaczyć dopiero, nieopłaciłoby się posyłać takiego człowieka. Ale z obowiązku przeczytam ci tutaj coś. Oto... jest tajny raport naszego agenta z uchwał jakie powzięto na zebraniu w Zürich dnia 26 maja tego roku: "ze względu na szczególną wagę zjazdów delegatów wydziałów wykonawczych

partji dla sprawy, jakoteż ze względu na konieczność absolutnego ustrzeżenia naszych kroków od szpiegostwa — dziś szczególnie zawziętego i uporczywego — wreszcie z powodu obecnego stanu sprawy ruchu wolnościowego na terenie otwartej rewolucji komitet S. Z. postanawia: stosowanie względem przyłapanych i stwierdzonych szpiegów natychmiastowej egzekucji, o ile zjazdy odbywać się będą na jakimkolwiek terenie niebezpiecznym". Wiedeń — jest "terenem niebezpiecznym" naturalnie, więc temu, kto tam będzie ich śledził, grozi śmierć. To oczywista. Żadna policja i żadne środki nadzwyczajne od takiej śmierci nigdy nie ustrzegą nikogo. Ustrzedz może go tylko własna przezorność, zimna krew i wyteżona uwaga. Naturalnie posyłamy agentów naszych nie dlatego, by się dali zabić, tylko na to, by nam przywieźli, lub przysłali dokładny i ścisły raport. Póki więc agent nasz nie spełni tego służbowego obowiązku, nie wolno mu się dać zabić. — Jeśli się da — ha! to ponosi słuszną karę za swoje niedołęstwo. Tyle panu miałem powiedzieć. Jeżeli się popiszesz, możesz liczyć po powrocie na mnie. Szczególniej miej oko na moich ludzi — stąd... możesz pan odejść.

Blau zerwał się z krzesła, zgiął się cały w niskim ukłonie i, schylony, szybko i cicho przesunął się za drzwi.

Za kwadrans w mieszkaniu swoim, na rogu Senatorskiej i Teatralnego Placu, pośpiesznie pakował rzeczy do eleganckiego, podróżnego kufra.

Promieniała mu twarz. Szczęście wracało! Oto znowu powierzono mu misję ważną, pierwszorzędного znaczenia, bez względu na to, że właściwie nie liczył się do etatu. Potrzebowano jego usług, wierzono w zdolności, obiecano nagrodę, protekcję!

Nie wątpił ani na chwilę, że z misji powierzonej potrafi się wywiązać doskonale. Tropić? Śledzić? Ależ on był urodzonym "tropowcem!" Takie sprawy były jego żywiołem!

Kiedy w parę godzin później, leżąc na aksamitnych poduszkach sleepingu układał w myśli plan działania, przyszło mu do głowy, że jednak gwiazda jego nie byłaby może zaświeciła tak rychło znowu, gdyby nie ów nagły zwrot i ruch społeczeństwa gdyby nie rewolucja.

Hektor Blau, o ile miał czas, t. j. o ile nie musiał działać z szybkością, zawodową energią, lubił filozofować.

Począł więc rozmyślać o owych ludziach, którzy teraz byli jego. nową zwierzyną — o przyczynach ich ruchu, o znaczeniu tego przewrotu i o jego możliwych skutkach.

Dziś — kiedy ten dziwny i straszny człowiek uległ już swemu losowi — trudno odbudować zupełnie wyraźnie proces jego myśli z tej epoki. Ale oto co zanotował on wówczas w owej nieodstępnej, w Gdańsku potem przeze mnie znalezionej książeczce:

"Nowe czasy — niektórzy mówią: nowe światła. Może to prawda. Niewiem i niechcę nad tem dłużej już myśleć. To nie mój business. W każdym razie — dla mnie te światła mogą być latarnią, do karyery. Im więcej ich zgaszę, tem ona jaśniej mi się przedstawi. Widać stąd, że to jest rzecz realna, a tamto — majaki. Ci ludzie? jako ludzie — zapewne z najszlachetniejszej gliny. Ale jako materiał dla mnie — najgorsi. I to podwójnie: trudniejsi od wszystkich innych, bo inteligentni i żyją fanatyzmem, zatem niesłuchanie odporni. A wrażeń — moich wrażeń — ciężko z nich dobyć. Nożowcy podsycali mnie swoją brutalnością — bestyalstwem. — A ci? do tych muszę się sam podniecać na zimno. To źle dla nich. Będą ode mnie cierpieć więcej niż jacykolwiek inni. A ja robię sobie — rum".

XIV

WALKA NA ŻYCIE I ŚMIERĆ.

Pod wspaniałymi kasztanami wiedeńskiego Prateru, toczyły się główną tego cudownego parku aleją, od Prateru do Rotundy eleganckie powozy. Prywatne ekwipaże, remizy i specjalne, dwukonne fiakry, zwane tam "comfortable' ami".

Obok, w alei wysłanej przez całą, kilka-wiorstową długość, korą drzewną, kłusowali eleganccy jeźdźcy, po obu bocznych, szerokich chodnikach, płynęły fale publiczności, ciągnącej od trzech przy wejściu "Kaffeehauzów" ku menażeryi Hagenbecka w Rotundzie i ku wielkiemu obozowisku Beduinów, urządzających tam codzień tłumnie uczęszczane przedstawienia.

W całym olbrzymim Praterze czuć było nastrój świątecznego popołudnia, owej obowiązkowej i świętej chwili wytchnienia, tak skrupulatnych na tym punkcie Wiedeńczyków

Punkt szósta, przed wytworną restauracją Sachera na Konstantins-Hugel, zatrzymał się elegancki powóz. Wysiadł zeń Hektor Blau i wolno, niedbale począł wchodzić na werandę. Warszawscy znajomi nie poznaliby teraz agenta. Ciemny morągowaty garnitur, biała kamizelka, lakierki, pyszny popielaty cylinder, wykwintna laska w dłoni, opiętej najlepszym zamszem duńskim. Twarz wygolona, na głowie siwa peruka, w oku monokl. Krok niedbały, nieco powłóczysty, wygląd bardzo dystyngowany, spokojny.

U drzwi spotkał go, zgięty we dwoje, kelner z oznajmieniem, iż baron Zungen oczekuje "pana hrabiego" w żółtym gabinecie, do którego poprowadził gościa.

Pan baron Zungen, mężczyzna lat czterdziestu, o bardzo ładnej, kobieco-delikatnej twarzy, oczekiwał przy stole już zastawionym.

Dwaj nasi przyjaciele przywitali się i rozpoczęli jeść obiad wytworny i drogi, przy którym baron opowiadał w bardzo zajmujący sposób różne epizody z turfu. W miarę podawania potraw i win rozmowa ożywiła się i zeszła do poufnej pogawędki przy kawie, którą podano obok gabinetu w pięknej, przyległej altanie. Służba, zaopatrzwszy biesiadników w kawę, likiery i cygara, usunęła się dyskretnie.

Baron spojrział wtedy w oczy Blau'owi i nieruszając się z fotelów swych obaj, dokładnie zlustrowali otoczenie altany, przez festony obrastających ją pnączów.

- Teraz możemy omówić szczegóły, rzekł baron.
- Słucham cię baronie — jako miejscowy masz stanowczo pierwszeństwo w nakreśleniu planu, który będzie z pewnością genialny!
- A więc tak. Cała rzecz polega na tem, by wydostać protokół, przeznaczony dla Zurichu. Skoro to mieć będziemy w ręce, to tak, jakbyśmy byli na samym zjeździe i słyszeli wszystkie uchwały.
- To nawet lepiej, zyskuje się cały plan czarno na białem — bajeczny dokument! i nie ryzykuje się, idąc na samo posiedzenie!
- No!... ryzykujemy trochę więcej właściwie!
- Nie — ryzykujemy parę chwil zaledwie — najwyżej dziesięć minut — a tam bylibyśmy przez parę godzin pod ciągłym strachem!
- Prawie wszystko jedno. Gdybym był zdołał uzyskać środki dostania się na posiedzenie, bylibyśmy tam jednak poszli. Ale nieudało się, nie od nas zależy odłożenie terminu, więc musimy zdecydować się na inną drogę.
- Słucham, słucham baronie. Decyduj pan!
- Już zdecydowałem w głowie. Protokół po posiedzeniu weźmie ten, kto wraca do Zurichu. Otóż, według moich wiadomości, wraca tam niejaki Kostka. Rysopis jego dokładny posiadam i pokazano mi go na ulicy dwa razy. Potrafię go poznać w nocy, na pierwszy rzut oka. On mieszka na Währinger platz. musimy go więc wziąć po drodze. Do romu chodzi zwykle przez Herrengasse skręca później za Giełdą, by przeciąć Ringi. To jest bardzo dobre, właściwe miejsce — a gdyby szedł Ringami, to koło ratusza musi przechodzić przez skwer, a tam są krzaki i drzewa duże i gęste — gdy minie ratusz i wejdzie na tylną część skweru, na chodnik między wązkie szpalery, — wtedy można doskonale... innego sposobu niema! Co pan na to?
- Hm! nic — plan wydaje mi się dobry...
- Czy potrafisz pan... uderzyć?...
- Oh!... to drobnostka. Wolałbym jednak...
- Jeżeli pan wolisz manipulować pętlicą — i umiesz posługiwać się nią tak szybko, jak tego dziś wymaga ta sprawa — to ja sztylet zatrzymam dla siebie. No?
- Tak — wolę to!

— Ale czy masz pan rękę pewną, zimną i szybką jak piorun?

Na ustach Blau'a zaigrał uśmiech. Nagle oczy jego wbiły się w ścianę altany. Przechylił się patrząc na zewnątrz, przez zielone gałązki.

— Co to jest, tam? szepnął.

Baron obrócił głowę i pochylił się we wskazanym kierunku.

Ledwo to uczynił, Blau zerwał się cicho i śmignął mu nad głowę sznurkiem jedwabnym, który jak błyskawica opadł szpiegowi na szyję. Nim zdołał się podnieść, Blau ściągnął pętlę, zdusił go i usta mu zakrył serwetą. Popatrzawszy sekundę w przerażone, skołowaciałe źrenice swego towarzysza, uśmiechnął się i zręcznie zwlókł mu z szyi sznurek, odjął serwetę i ukłonił się pytając:

— Czy rękę mam? jak sądzisz baronie? Ten strzepnął rękami.

— Przestraszyłeś mię pan nie na żart Niech pana dyabli! No-możemy iść na pewniaka! i piję pańskie zdrowie.

Tręcili się.

— Więc od której zaczynamy jutro łowy? zapytał Blau.

— Od ósmej trzeba być na posterunku. Naturalnie przez cały dzień będę ich przez moich ludzi pilnował. Pewnie koło pierwszej lub drugiej będzie dopiero robota. Zejdziemy się jutro wcześniej — około piątej, gdzieś na obiedzie...

— To w takim razie ja proszę cię do Sachera, baronie, ale w mieście, nie tu — tam koło Opery!

— Dobrze. Punkt piąta, tak?

— Tak. A dziś co robimy?

— Dziś — przejedziemy się jeszcze trochę, a potem — zawiozę pana do pewnej ładnej kobietki na Wipplingerstrasse! Jeżeli pan notabene lubisz towarzystwo kobiece?

— Czy ja lubię? Przekonasz się pan!

* * *

W trzydzieści za ledwie godzin po dystyngowanej biesiadzie dwóch kolegów na Konstantins-Hugel, do drzwi skromnego, kawalerskiego mieszkania na czwartym piętrze, przy Mariahilferstrasse, silnie zakłótał jakiś młody człowiek, zdyszany od prędkiego wchodzenia po stromych schodach.

— Wer ist da? odpowiedziano z pokoju.

— Ja, ja! Tymko! zawołał młody — otwieraj prędezej!

Drzwi otwały się szybko.

— Stało się co? zapytał mężczyzna o surowej, poważnej twarzy, wpuszczając przybyłego.

— Coś najgorszego! Kostka zabity!! rzekł Tymko, padając ciężko na krzesło.

Rysy gospodarza mieszkania, skurczyły się nagle, jakby pod dotknięciem prądu galwanicznego. Postąpił na środek pokoju.

— Opowiadaj spokojnie i krótko — rzekł, prostując się z widocznym wewnętrznym wysiłkiem — gdzie i kiedy?

— W nocy, na skwerze za Rathausem — w drodze do domu zabili go! Udusili jak psa, pętlącą! Oh! Sępie, Sępie! jakież to straszne! jakie!

Począł łkać. "Sęp" odszedł do okna i postął tam chwilę cicho.

Wreszcie odwrócił się z twarzą spopieloną i zmierzchną i ciężkim krokiem podszedł do Tymka.

— Mówisz "straszne", mój chłopcze! na "to" wszyscy, zawsze musimy gotowi być!... Zginął żołnierz na posterunku — mówię, choć to był druh mój serdeczny... towarzysz nieodstępny ostatnich ciężkich siedmiu lat trudu... ! Ubył żołnierz z szeregu — mówię ci! nie czas na łzy! Szlusuj!

Sępie! Sępie! — krzyknął Tymko, zrywając się — my będziemy ginąć jak psy, a oni... zawsze górą nad nami?! żadnej-że zemsty... — Cyt! my nie mścić się ale budować idziemy... kamienie grobowe odwalać, ale nie grzebać się w błocie, nie szkielety kruszyć, co same już starością zżarte rozsypują się w proch... mścić się? na kim? Na... tej padlinie, co dziś resztką sił i złości za piętnami naszymi się czołga? Czyż nato mamy marnować siły, czas?! Otrząśnij gada, zgnieć go, skoro przeszkadza ci iść — ale nie myśl o tem, byś go szukać miał, łowić!... Za wielki zaszczyt dlań, za mały dla nas, nadto pospolity trud!

— Sępie! A krew przelana druha — to nic?...

Oczy Sępa pociemniały, zaśniły — zapaliła się w nich jakaś drgająca iskra... — Kostki krew... — Kropla krwi ludu — już ją policzył Pan... rzeki jeszcze tej świętej popłyną krwi...

— A! ja nie umiem tak myśleć, Sępie! nie umiem dusić w sobie płomienia rozpaczy i zemsty, kiedy widzę, że zbiry mordują mi brata obok! ja za krew pragnę krwi!

Sęp ze smutnym uśmiechem pokiwał głową.

— Zobaczysz jeszcze tę krew, bracie! teraz — nie mówmy o tem... trzeba radzić! Ubył żołnierz jeden — pusta po nim placówka — szlusować trzeba szeregi. A! myśli zebrać trudno... tak dobrze wszystko pomyślane było — i pękło znów! Skąd z tą wiadomością przyszedłeś, Tymku?

— Wojtan mnie wysłał do ciebie. — Gdzie on?

— Czeka na ciebie i innych u Rosy.

— Pójdziemy więc tam. Ani chwili zwlekać nie można. Naturalnie, protokół?...

— Skradli mordercy...

— Tak. Dlatego wzięli mu życie. Pójdźmy. Po Kostce — ja idę w szranki!

Wyszli.

* * *

Jesteśmy znowu w Warszawie.

W tem mieście, które od dwóch lat stało się knieją dla takich jak Hektor Blau, łowców. Od Wolskich do Belwederskich rogatek przewala się po niem wciąż wściekła pogoń i zapamiętała obława... Pisać o tem nie można...

Nie można pisać — choćby dlatego, że niepodobna jeszcze zebrać ogromnego materiału tych czasów strasznych i ciężkich, że niepodobnaby zamknąć go w paru arkuszach druku...

Te czasy przejdą do historii. Splątany chaos wypadków powiąże ona czerwoną nicią wspomnień, połączy je w jeden płomienisty łańcuch przełomowej chwili, przyszłe skrepuje nim i oplecie lata...

O Hektorze Blau — na tle tych wypadków, dla tych samych przyczyn rozwodzić się niepodobna.

Zresztą — czasem czyjeś wspomnienie zaryje się tak trwałym śladem w pamięci współczesnych, że pogłębić już go nawet nie można.

Hektor Blau wrócił z Wiednia z tryumfem, i, naturalnie, owoce jego trudów — nie poszły dla jego karyery na marne.

Odtąd, wierny swym zasadom filozoficznym, swemu systemowi życia, pracował bez wytchnienia, aż imię jego na wszystkich znalazło się ustach, zaciążyło nad wszystkimi głowami, jak myśl o czymś nieuniknionem, nieodpartem i strasznym, co spotkać każdego i miażdżyć zawsze może, choć nie musi.

Organizacja ruchu, który rozprzestrzenił się w całym państwie i w naszym kraju, umiałaby o tem coś opowiedzieć, zapewne.

Trwało to aż do jego tajemniczego zniknięcia.

O zniknięciu tem opowiadano później przeróżne wersje, jedną więc z nich, na zakończenie książki, poświęconej jego popiołom — nie! jego zgniliznie (bo się przecież utopił) — przyłączamy w zakończeniu.

Podajemy ją w tej formie, jaka z różnych pochwytyanych fragmentów odbudować się dała — przy odrobinie dobrej woli naturalnie.

OSTATNIA POGOŃ. LODOWY GRÓB.

Hektor Blau powrócił do domu w stanie, którego nie możnaby nazwać zupełnie trzeźwym.

Wiadomości, jakich dostarczył mu Rzepko, wprawiły go w humor doskonały. Wszystko szło wybornie. Sposobność schwycenia takich ptaszków jak Chmura i Sęp spadła mu niespodziewanie, jak z ręki wyjątkowo faworyzującego go losu.

Nareszcie! wszystko, czego brakowało mu do ostatecznego tryumfu do zajęcia pierwszego stanowiska w rządzie tej zesforowanej armii tropicieli ludzkich i obrońców wiernych dawnego porządku, która od roku przeszła dusiła swoją straszną siecią Warszawę.

Pewność zwycięstwa usposobiła go tak doskonale, że pił dziś więcej, niż zwykle. Szalał po prostu.

Dość wcześnie już, z nieodstępnym Wiejkinem, poszedł do Renesansu i zasiadł na sali, gdzie ochoczo zabrali się do jadła i wódki.

Ale właściciel zakładu, powiadomiony od dawna o pogrózkach, jakich względem Blaua nie szczędzili rewolucyoniści, prosił go, by przeszedł do gabinetu. Tam siedzieli obaj z Wiejkinem do rana w towarzystwie kokot i wyprawili orgię, po której Blau udał się prosto do domu.

Jego morganatyczna towarzyszka wiedząc, iż mają go dobrze ze wszystkich stron na oku, przelękała się bardzo, widząc go wracającego w stanie, w którym w razie napadu ciężkoby mu było się bronić.

Ale Blau uspokoił ją, pokazując ze śmiechem kupioną za granicą koszulkę stalową, którą nosił teraz już stale na sobie.

— Tego nie przebije ani nóż, ani kula brauningowa! mówił, a zresztą — dziś się to skończy! teraz oni mnie będą prosić i strzedz!

Miał on oddawna plan oparcia swego własnego bezpieczeństwa na życiu ludzi, na których polował. Ludzie ci, raz w ręku władzy, byli nieodzownie skazani, ale Blau liczył na to, że tymczasem będą oni trzymam w więzieniu, jako zakładnicy, póki on bezpiecznie nie wyłapie pomału innych.

Wówczas — wyjedzie z Warszawy zupełnie.

Znajdzie sobie gdzieindziej służbę, jeszcze obfitszą we wrażenia, zaszczyty i zyski. Warszawy miał już dosyć.

Plan ten obgadał on szczegółowo z kim należało i miał aprobatę w kieszeni.

Co do partyi, był pewien, że pozostawią go w spokoju, wzamian za wstrzymanie egzekucyi na ujętych dwóch jej najważniejszych członkach.

W interwałach — obiecywał sobie z nimi zabawę.

Teraz, położywszy się, usnął i spał do wieczora prawie.

Wczesny styczniowy zmierzch począł pokrywać cieniem miasto, kiedy, wypiwszy w łóżku herbatę i pogawędziwszy z Wiej kinem i Ksenią, ubrał się, aby wyjść.

— Słysz, Wiejkin! a ty uprzedziłeś tamtych?

— A jakże. Dziś rano byłem w wydziale. Rozpowiedziałem im wszystko. Może pan być spokojny — będą na miejscu.

— Na praskim brzegu dwóch i na warszawskim dwóch?

— Tak. Na Pradze Żarczyk i Szepuchow, a tu Worow i Bierjozkin.

— A patrole?

— Zamówione.

— Tak, że wszystko gotowe?

— Wsio.

— 161 —

— Opatrz broń.

— Już to zrobione.

— Dobrze. Słuchaj — a ja myślę wziąć łyżwy, wiesz?

— Ta... można.

— Trzeba być na wszystko gotowym. Taka schadzka na Wiśle, to niepodobna żeby oni przyszli od brzegu wprost. Muszą na łyżwach dojeżdżać korytem.

— Ha! może i to być!

— A ty umiesz się ślizgać?

— Umiem. Dawno już się nie ślizgał, ale umiem.

— Ja ślizgam się dobrze. Mam tu nawet dwie pary łyżew.

Poszedł je szukać i dobył ze szafy.

— Ty weźmiesz te — tylko przymierz, dopasuj sobie, doskonałe są. A ja tę drugą parę. Tylko zmienię obuwie.

Dopasowanie łyżew zajęło z pół godziny czasu. — Potem Blau i Wiejkin ubrali się i wyszli. Byli obaj w krótkich kożuszkach, ubrani swobodnie i lekko.

Poszli najpierw do ratusza, gdzie Blau chciał się upewnić, czy polecenia jego wykonano ściśle. Potem wstąpili do baru na Trębackiej, by się czymś posilić, wreszcie, około siódmej, przyszedł Blauowi pomysł zużycia czasu, który ich jeszcze dzielił od chwili łowów, na kąpiel.

Pojechali na Zjazd i kąpali się tam w łazienkach blisko półtorej godziny. Wreszcie ubrali się, wyszli i poszli przez most na Pragę. Biła dziewiąta kiedy stanęli po drugiej stronie rzeki.

Obeszli posterunki nadbrzeżne, sprawdzili obecność swych pomocników i poszli brzegiem ku mostowi kolejowemu.

Tutaj, pod środkowym filarem, miała się odbyć owa schadzka.

Zaszyli się w zarośla i czekali. Po zamarznętej rzece wiał wiatr. Było ciemno i zimno.

Wreszcie, około dziesiątej, usłyszeli za mostem gwizdanie. Ktoś jechał na łyżwach pogwizdując "Czerwony Sztandar".

— A widzisz! mruknął Blau. To oni — na łyżwach jadą!

Gwizdaniu odpowiedziało drugie z pod mostu na, ton "Na barykady". Za chwilę ucichły te głosy.

Wówczas Blau pociągnął Wiejkina i ostrożnie, na czworakach, zsunęli się z brzegu na lód. Równocześnie takie same, dwa punkty zsunęły się na rzekę po tym samym brzegu z drugiej strony mostu. Wszystkie cztery pełzły w cieniu pod most i zniknęły pod nim.

Chwilę długą trwało milczenie.

Naraz ciszę nocną i rozdarł krótki, urwany, brauningowy. strzał. W tymże momencie z pod mostu wysunęły się szybko dwie czarne sylwetki i, wyprostowane, poczęły sunąć po korycie rzeki w jej górę. Za nimi pośpieszały cztery inne. Dalej widniały jeszcze dwa oddalone cienie. Na odgłos strzału nadbiegły nad brzegi patrole, ale żołnierze nie mogli dojrzeć, co się dzieje na środku.

Tam rozpoczęła się wściekła pogoń.

Dwóch ludzi — Chmura i Sęp — uciekali.

Gronił ich Blau ze swoimi.

Ale Chmura i Sęp umieli się ślizgać — a po stronie przeciwnej umiał to naprawdę jeden Blau tylko.

Był też na przodzie i jechał śmiało, podniecony tym biegiem z rewolwerem w dłoni.

Mógł strzelać — wołał wziąć żywcem.

Chmura, był na przodzie, ale Sępa doganiał już Blau.

Wtem — Sęp z rzadką sztuką i wprawą odbił się od lodu i skoczył naprzód. Blau rozpędził się i sunął za nim.... naraz kawał lodu pod nogami jego ugiął się i zanurzył w wodę.

Agent wydał straszny, nieludzki, krzyk i zniknął w otwartej przerębli.....

Przerażeni towarzysze jego nadbiegli, otaczając kołem miejsce wypadku. Ale lód był równy i żadnej dziury nie było widać.

— Światła! ryknął Wiejkin — to wypiłowana umyślnie przerębla!! nie ruszać się, bo który wleci!

Błysnęły latarki kryte.

Przy ich świetle widać było równo i symetrycznie przepiłowaną szczelinę, przez którą na wierzch lodu wydobywała się chlupiąc woda.

Wypiłowany prostokątny kawał lodu ugiął się pod ciężarem agenta, zagłębił się z nim w falach, potem, dziwnym trafem wypłynąwszy, trafił nazad dokładnie w otwór lodowej powłoki i zamknął ją na wieki za Hektorem Blauem, jak płyta grobowca...